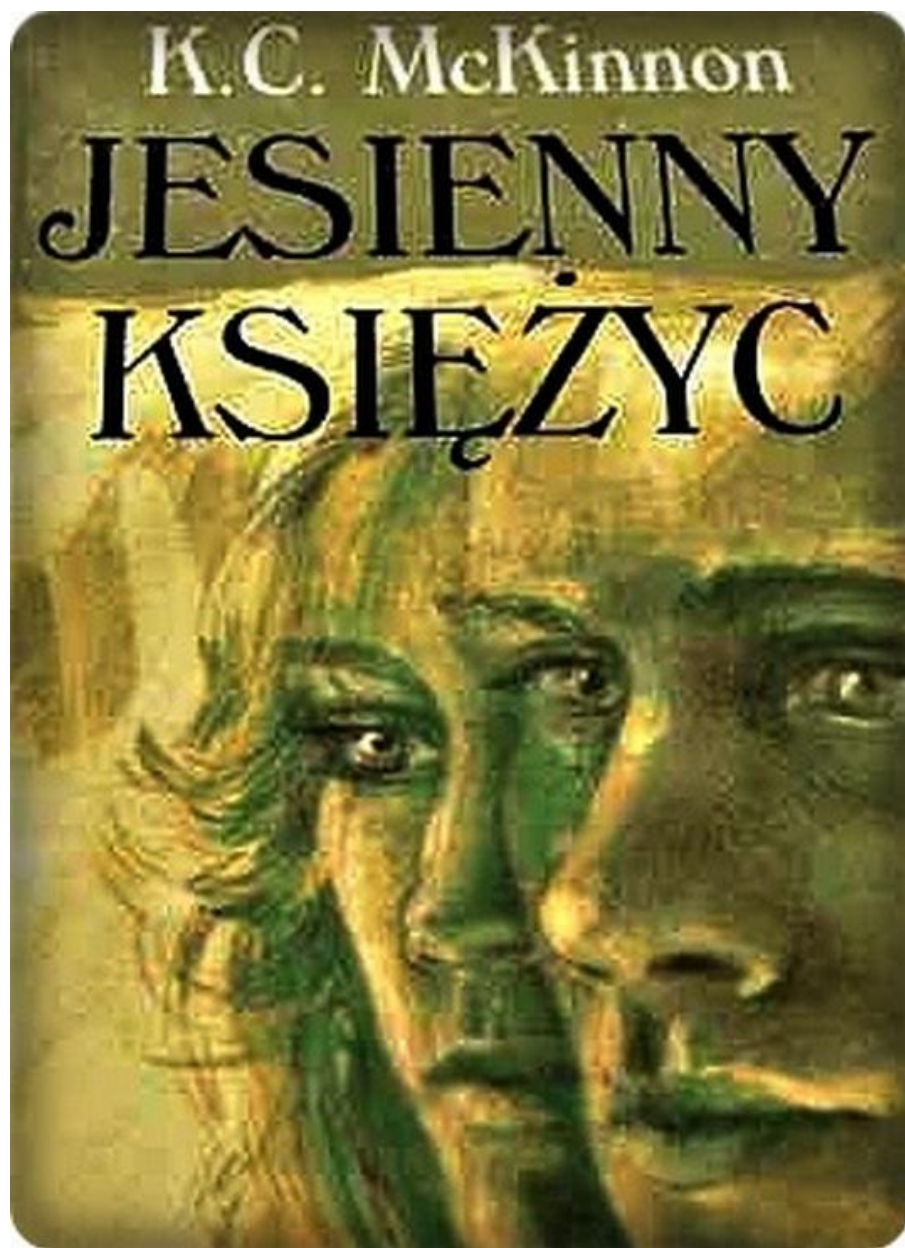


K.C. McKinnon

JESIENNY  
KSIĘŻYC



*McKinnon K.C.*

*Jesienny księżyc*

*Jesienny księżyc jest cudowną, ciepłą opowieścią o zakochanej kobiecie. Czterdziestoletnia Maggie McIntyre po niepowodzeniach życiowych postanawia powrócić do położonego nad jeziorem miasteczka Little Bear Lake, gdzie jako młoda dziewczyna Ma nadzieję, że zdoła odnaleźć zagubioną drogę. Czy pojawi się ktoś, kto pomoże Maggie przeżyć swą pierwszą miłość. rozpocząć nowe życie?...*

*Koronkowa chusteczka*

*Dziewczyna utkana z promieni,  
Z kwiatem jabłoni na skroni,  
po imieniu do mnie krzyknęła,  
w powietrzu się rozplynęła...*

William Butler Yeats

To nieprawda, że tylko w chwili śmierci oglądamy całe nasze życie w jednym błysku. Umieramy na różne sposoby i śmierć fizyczna jest tylko jednym z nich. Niekiedy przychodzi taki dzień, gdy marzenia, hołubione przez całe lata, wypływają na powierzchnię i raptem obracają wniwecz egzystencję, jaką dotąd wiedliśmy. Coś takiego może się przydarzyć w metrze, za kierownicą samochodu, na moście. W pralni automatycznej, podczas gry w bingo, w McDonalddie. Wczesnym rankiem, gdy zajadamy płatki śniadaniowe. Wystarczy zapach zapamiętany z przeszłości, kiedy mieliśmy jeszcze odwagę

marzyć, piosenka, której słuchaliśmy w latach chmurnej i górnej młodości. Obojętne jak, gdzie i kiedy przydarzy się nam coś podobnego, jedno jest pewne: w takiej chwili umieramy, by odrodzić się na nowo. To właśnie przytrafiło się Maggie Mary McIntyre, gdy przeglądała kufer z pamiątkami w poszukiwaniu referatu semestralnego, który napisała przed dwudziestu pięciu laty, a którego tytuł brzmiał: *Symbolizm, mitologia i okultyzm w twórczości W.B. Yeatsa*. Obiecała Jennifer Fulbright -ona również zajmowała się Yeatsem - że spróbuje odnaleźć referat. W końcu Jennifer była jej najlepszą studentką. Niekiedy podczas zajęć Maggie podnosiła głowę znad notatek i przyglądała się, jak Jennifer siedzi z przechyloną głową, z brodą wspartą na dłoni, z włosami rozświeconymi refleksami słońca. Miała w takich chwilach wrażenie, że spogląda na siebie z czasów młodości, młodszą o dwadzieścia jeden lat, pełną radości życia studentkę, która zabiera się do pisania pracy magisterskiej. A przecież to Jennifer Fulbright, tak jak ona zakochana w lirycie Yeatsa, teraz chce się dowiedzieć, co jej wykładowczyni miała do powiedzenia o poecie. Maggie zostawiła zatem ojca i jego żonę Vivian przy kawie w maleńkiej bawialni, zerknęła na ich walizki czekające przy drzwiach wejściowych niczym wierne psy i poszła na strych, by przejrzeć pudła, w których przechowywała referaty pisane między rokiem 1965 i 1969, w czasie studiów na uniwersytecie w Bostonie. Potem było magisterium, dyplom, małżeństwo, dwójka dzieci. To właśnie tutaj, na przegrzanym od letniego słońca strychu wiktoriańskiego domu przy Beauchemin Street w Kansas City, gdzie mieszkała od

tylu lat, Maggie przeżyła to, co jej studenci mogliby uznać za Joyce'owską epifanię: „nagle objawienie natury rzeczy, osoby lub sytuacji”. Nie znalazła referatu o Yeatsie, za to na dnię pudła jej palce natrafiły na coś miękkiego i delikatnego: trzymała w dłoni zleżałą chusteczkę do nosa wykończoną białą koronką, prezent ofiarowany jej przez pierwszego chłopaka, którego pokochała, pierwszego, z którym się kochała i któremu zламаła serce. Chociaż nie zapomniała go przez te wszystkie lata, był zaledwie milczącą zjawą, towarzyszącą jej przez całe życie, nadal po młodzieńczemu kochaną, jednakże zjawą. Ani dzień - powinna odwieźć ojca i Vivian na lotnisko, przygotować pytania do egzaminu z literatury obcej - ani miejsce - duszny strych - nie sprzyjały podobnym przeżyciom. A jednak wtedy właśnie się to zdarzyło, najprawdziwsze objawienie. Wróciła pamięcią do Kanady, do *Jesiennego księżycyca*, gdzie co roku w czasie studenckich wakacji pracowała jako kelnerka. Odnalazła tam podobną do Jennifer dziewczynę, która miała całe życie przed sobą, i chłopca, który był jej pierwszą miłością. Robert Flaubert, kochany Robbie. Wierzyła kiedyś, że pewnego dnia wyjdzie za niego za mąż, ale rozdzielił ich nurt życia, jej studia. Widziała jezioro, do którego brzegu tulił się *Jesienny księżyc* i gdzie wieczorami niosły się przeciągłe krzyki nurów. Popełniła poważny błąd, rozstając się z Robem Flaubertem, i decyzja ta zaważyła na całej jej późniejszej egzystencji. Prawda bowiem była taka, że od tamtej chwili nie żyła, tylko egzystowała.

Westchnęła głęboko, wsłuchana w trzepot ptasich skrzydeł pod okapem. Po raz pierwszy od niemal roku czuła się bezpieczna. Opanowana. Dom otaczał ją niczym opiekuńcze ramiona. Wprowadziła się tutaj w 1970 roku, zaraz po ślubie z Joe McIntyrem, którego poznała rok wcześniej na ostatnim roku studiów. Od tego czasu dom przez niemal dwadzieścia lat chronił ich od deszczu i śniegu. Tu rosły jej ulubione rośliny, mieszkały ukochane zwierzęta. Kamienny wiktoriański dom z hortensjami po obydwu stronach ganku i krzewem róży w ogrodzie, dom, który przyjął w podwoje jej dzieci, dawał im schronienie przed zimowymi zawieruchami, deszczem, wiatrem i letnią spiekotą, dopóki nie wyrosły, nie usamodzielnili się i na dobre nie opuściły jego progów, by powracać z okazji świąt i wakacji. Dom był świadkiem jej zmagania z obowiązkami mamy i studentki (uczyła się na studiach wieczorowych, a potem, kiedy dziewczynki poszły do szkoły, znowu na dziennych). Tutaj pisała swój doktorat z literatury porównawczej. Tutaj wieczorami wracał jej mąż, gdy kończył pracę w firmie prawniczej; przychodził z głową nabitą precedensami i pozwami, zafascynowany młodą asystentką, która w końcu go przekonała, że i on w jej ramionach znowu może być młody. Pełna życia dziewczyna Joego. Do tamtej chwili solidny stary dom chronił też Maggie, witał ją każdego popołudnia, gdy skręcała z Drake Street w Beauchemin, zmęczona opowiadaniem o Eliocie, Poundzie, Hardym i Tolstoju, zmęczona studentami, którym było obojętne, o czym jest wykład. Za sprawą młodej asystentki wszystko uległo zmianie. Joe zapytał Maggie, czy może z nią

porozmawiać. Usiedli przy kominku w salonie, gdzie na półkach stały cenne pierwsze wydania Faulknera, Millaya i Wilde'a. Widząc napięcie w twarzy męża, Maggie zrozumiała, że stało się coś strasznego. Przerazona, oczekiwała najgorszej wiadomości. Któraś z dziewczynek nie żyje! Był wypadek! Diana i Lucy! Diana, szczupła i wysoka, nosząca imię po matce Maggie. Lucinda, ciemnowłosa, zawsze zamyślona, podobna do Joego. Coś się stało Dianie i Lucy! A jednak nie. Były całe i zdrowe. Diana mieszkała w Chicago ze swoim chłopakiem, rysownikiem pracującym w tej samej agencji reklamowej co ona. Lucy studiowała na uniwersytecie w Bostonie; przygotowywała się do obrony dyplomu z mikrobiologii. Nie, dziewczynkom nic się nie stało. To Maggie była w niebezpieczeństwie.

Usiadła przed kominkiem, gotowa wysłuchać Joego. Gdy zaczął mówić, w pierwszej chwili pomyślała o Bridgette. Jak ona się nazywała? Maggie widziała ją tylko raz, gdy wpadła kiedyś po męża do biura. Jechali wtedy na lotnisko po Dianę, potem mieli zjeść kolację na mieście. Teraz uświadomiła sobie, że już wtedy musiało ich coś łączyć, bo Bridgette spurpurowiała na jej widok, ale Maggie uznała, że to jej nieoczekiwana wizyta wywołała pąsy na twarzy dziewczyny. Gdy Maggie weszła, Bridgette rozmawiała właśnie przez telefon. Jej śmiech, mina, sposób, w jaki zawijała włosy na palcu, wszystko to wskazywało, że nie prowadzi rozmowy służbowej. Maggie uznała więc, że dziewczyna się zaczerwieniła, bo żona szefa przyłapała ją na flirtowaniu. Jak bardzo się wtedy myliła. Tego dnia myślała wyłącznie o przy-

jeździe Diany, radosnej, bystrej Diany, dzięki której opustoszały po wyjeździe dziewczynek dom, z wiecznie nieobecnym Joem, znowu miał ożyć. Maggie przypomniała sobie, że rumieniec na twarzy Bridgette dodał jej młodzieńczego uroku. Kiedy więc Joe powiedział: „Kocham kogoś innego. Bardzo, bardzo mi przykro, ale chcę spróbować zacząć wszystko od początku”, oderwała wreszcie wzrok od półek z Wil-de'em, Faulknerem, Millayem i zapytała:

- Kto?

Kiedy odparł, że Bridgette, przypomniała sobie pąsy na ślicznej twarzy dziewczyny. *Gdy niebo się rano czerwieni, pogoda na gorsie się odmieni.* Przez chwilę nie mogła dobrać głosu. Czy naprawdę upłynęła tylko chwila? A może godziny, dni? Na kominku buzował ogień, za oknami, na Beauchemin, złociły się jesienne liście. Maggie zapomniała o Bridgette. Patrzyła na męża. Poznali się, kiedy był studentem prawa, jesienią 1969 roku, na meczu piłkarskim drużyn uniwersyteckich. Boston wygrał wtedy z Connecticut.

Joe stał przy kominku. Minę miał niewyraźną.

- Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, co zrobiłeś? - powiedziała wreszcie.

Nie chodziło wcale o Bridgette. O młodą, atrakcyjną dziewczynę, zaledwie kilka lat starszą od Lucindy. Szło o mężczyznę, który dobiegał pięćdziesiątki, ale i o tego młodszego, którego znała niegdyś. O studenta prawa, tak bardzo pragnącego mieć rodzinę, że Maggie przerwała studia, by urodzić dzieci. Przyglądała mu się uważnie, czekając, kiedy wreszcie spojrzy jej w oczy.



- Nie wiem, czy kiedykolwiek zrozumiesz, co zrobiłeś - powtórzyła, po czym naląła sobie sherry i dorzuciła polano do ognia.

Joe poszedł spakować najpotrzebniejsze rzeczy. Siedziała bez ruchu. Potem poczuła jego dłoń na ramieniu, tak jakby ów gest mógł złagodzić ból, i mąż wyszedł bez słowa.

Usłyszała, jak zapala silnik i wyjeżdża z podjazdu. Wycofywał się ze złożonych obietnic. Znikał z jej życia. Zniknął z jej życia. Za oknami rozszalała się jesienna burza z grzmotami i błyskawicami. Ogień na kominku przygasł. Maggie wypła jeszcze jeden kieliszek sherry. Przypomniała sobie swój ulubiony wiersz Keatsa o kochankach, którzy odeszli całe wieki temu.

- *Odeszli w nawałnicę* - szepnęła, kuląc się w przedwieczornym chłodzie.

Od tego czasu minął prawie rok. Rok bezsennych nocy, w czasie których leżąc w łóżku obserwowała przez okno wędrówkę księżycy po niebie. Rok wsłuchiwania się w szum wiatru na Beauchemin Street. Rok nie kończących się wykładów, w czasie których opowiadała studentom o Dickensie, Emersonie i Thoreau. Minął Halloween z obowiązkowymi wizytami dzieci dopominającymi się o cukierki; Święto Dziękczynienia spędziła, oglądając filmy Monthy Pytona, zjadając spaghetti i okłamując dzwoniących do niej zatroskanych znajomych:

„Jem kolację z Anitą” - powiedziała dziewczynkom. „Dziewczynki przyjeżdżają do domu na Święto Dziękczynienia” - skłamała Anicie.

Na początku grudnia, w dzień urodzin, Anita

Woodehouse, jej najlepsza przyjaciółka, wyciągnęła ją na kolację do nowej restauracji tajskiej na Banner Boulevard. Maggie wróciła wcześniej do domu i prawie do rana rozmawiała przez telefon, najpierw z Dianą, potem z Lucy. Zamartwiała się o nie przez całe życie, a teraz to one troskały się o matkę. Najtrudniej było jej w Boże Narodzenie. Po południu pierwszego dnia świąt pojawił się Joe z prezentami dla dziewczynek. Maggie nie dostała nic. Umówili się wcześniej, że nie będą udawać, iż coś ich jeszcze łączy. I tak po raz pierwszy od poznania się w 1969 roku nie wymienili podarunków. Kupiła sztuczną choinkę, chociaż do tej pory zawsze mieli na święta pachnący norweski świerk. Sztuczne drzewko. Dziewczęta były rozczarowane, ale „sztuczne” dobrze oddawało nastrój Maggie. Całe małżeństwo z Joem było sztuczne. Maggie patrzyła na Dianę i Lucy, jak rozpakowują swoje paczki, na Joego, który popijał wino, przestępując z nogi na nogę. Przypomniła sobie pierwsze prezenty; ona dostała wtedy poezje Roberta Burnsa w wydaniu z 1902 roku, śliczny, oprawny w skórę tomik. Joemu kupiła dwie koszule i krawat, jako że nie miał w czym chodzić na zajęcia; do tego szare wełniane rękawiczki na wilgotną bostońską zimę. Joe poszedł sobie, i było po świętach. Obejrzała z dziewczynkami *Cudowne życie*, choć życie wcale nie było cudowne. W walentynki rozmyślnie siedziała do późna w bibliotece, przeglądając starodruki. Po powrocie do domu na progu znalazła bukiet róż, który zostawił kwiaciarz Larry, jej stały dostawca.

- Zostaw je po prostu na ganku - zadysponowała.

Joe zawsze dawał jej róże w dzień świętego Walentego i w rocznicę ślubu. Chociaż za nic nie przyznałaby się do tego ani dziewczynkom, ani Anicie Woodehouse - która, niech Bóg ma ją w swojej opiece, wykładała Drydena, Swifta i Pope'a - serce jej drgnęło na widok bukietu czekającego na progu. Róże od Joego! Wolno szła ścieżką, wpatrując się w targany wiatrem bilecik. A jeśli w ten sposób oznajmiał jej o swoim uczuciu, jak czynił to zawsze w walentynki? Jak powinna zareagować? „Tak, wracaj do domu, zapomnimy o wszystkim. Będziemy biegać nago po Beauchemin Street. Będziemy kochać się jak za młodu, szaleć w łóżku. Pamiętasz te zwariowane noce, kołdry na podłodze, pozwijane prześcieradła, nie kończące się pieszczoty. Zróbmy to. Zróbmy jeszcze raz!" *Dla mamy. Kochamy Cie jeszcze bardziej niż kiedykolwiek. Di & Lucy* - przeczytała na bileciku. Podniosła głowę i wybuchnęła głośnym śmiechem. Ależ jest głupia. Di i Lucy. Co by poczęła bez dziewczynek? Marcowe wiatry zapowiadały urodziny Joego, piętnastego. Idy marcowe. W 1970 roku, dokładnie dwadzieścia lat wcześniej, kupiła mu *Zmierzch cesarstwa rzymskiego* Gibbona. Pierwszy prezent urodzinowy, który mu dała. Obiecywał ciągle, że któregoś dnia przeczyta tę książkę, ale zajęty studiami, nigdy się do niej nie zabrał. Kiedy potem rozpoczął praktykę w rodzinnym Kansas City, wracał do domu wykończony, z teczką pełną papierów, nad którymi ślęczał do późna w nocy, przygotowując się do kolejnej rozprawy. W końcu to ona czytała Gibbona wieczorami, gdy dziewczynki już spały, a Joe pracował

w swoim gabinecie. Samotnie śledziła trzynaście wieków ludzkich zmagañ, poczynawszy od Trajana i dynastii Antoniuszy do podboju Konstantynopola przez Turków w 1453 roku. Trzynaście wieków. Nie przyszło jej wtedy do głowy, że dziewięć miesięcy bez Joego wyda jej się czasem znacznie dłuższym. Gibbon miał kiedyś powiedzieć, że historia to nic innego jak zapis „zbrodni, szaleństw i nieszczęść”. Po dziewięciu miesiącach, jakie upłynęły od chwili, gdy Joe przeniósł się do małego mieszkania Bridgette w pobliżu uniwersytetu, zanim kupili domek, Maggie tak właśnie patrzyła na życie: pasmo zbrodni, szaleństw i nieszczęść. Głównie szaleństw. 6 kwietnia odbyła się rozprawa rozwodowa. Ostatniego kwietnia przypadały urodziny Diany. Maggie dzień spędziła na wystawie impresjonistów w Chicago Institute of Art, potem z córką i jej chłopakiem, Adamem Fesslerem, poszła na uroczystą kolację z ostrygami i szampanem. Po północy 5 maja jej pierworodna, Lucinda Mary Patterson McIntyre, skończyła dwadzieścia lat. Urodziny spędziła na szczycie Cadillac Mountain, w Main, dokąd wybrała się na pieszy rajd z przyjaciółmi. Czas płynął szybko. 20 maja, niecierpliwie oczekując końca zajęć na uniwersytecie, Maggie poszła na strych szukać starego referatu o Yeatsie. Tutaj zdała sobie sprawę, że wszyscy dawno już zapomnieli o młodej kobiecie, którą kiedyś była. Zapomniał o niej Joe. Dziewczynki w ogóle nie znały dawnej Margaret Mary Patterson, dziewczyny lat sześćdziesiątych. Maggie pamiętała, jak pewnego dnia ojciec i sąsiad, pan Giovanni, pojawili się w domu

z wielkim brązowym pudłem. Wydarzenie to oznaczało początek epoki wszechpotężnej telewizji, owego daru bogów dla maluczkich. To na ekranie telewizora piętnastoletnia Maggie oglądała zamach na Johna F. Kennedy'ego: strzał w głowę; Jackie w różowym, poplamionym krwią kostiumie wspina się na bagażnik i wyciąga drżącą dłoń do ochroniarza. Widziała Karolinę stojącą sztywno u boku matki i małego Johna oddającego honory przed trumną ojca. Cztery lata później po raz pierwszy pojechała do Kanady nad Little Bear Lake, gdzie spotkała swoją pierwszą miłość i przez trzy kolejne lata miała pracować w czasie wakacji w *Jesiennym księżycu*, zawsze pełnym rozbawionych ludzi, gotowych tańczyć do rana. Pracę znalazła jej ciotka, która spędzała tu urlopy. Spoglądając wstecz, Maggie widziała, że miesiące spędzone w *Księżycu*, dni i noce z Robbiem, powinny były ukształtować całą jej przyszłość. Ostatnie lato w Kanadzie, lato 1969 roku, kiedy skończyła dwadzieścia jeden lat, było najlepszym okresem w jej życiu. Wróciła do Bostonu, by pisać pracę magisterską; dziesiątki razy odczytywała listy Robbiego, podziwiała rysunki, które dołączał do każdego listu, i czekała na rozmowy międzymiastowe z Little Bear Lake.

Wtedy to nastąpiły wydarzenia, które zmieniły jej życie. Siedziała w akademiku przed telewizorem, tym posłańcem bogów, i słuchała Waltera Cronkite'a opowiadającego swoim aksamitnym głosem o eskalacji wojny w Wietnamie. Miesiąc później jej brat Douglas - Dougie Groźny - poległ w delcie Mekongu; wszedł na minę i został rozerwany na kawałki. Jego

śmierć odmieniła Maggie. Raz na zawsze, nieodwracalnie, przekreśliła czas młodości. Jeszcze obolała po stracie brata, w listopadzie 1969 roku poznała Joego. Miał przynajmniej w części zastąpić jej Douglasa. Z jasnymi włosami, piwnymi oczami, typ bardziej intelektualisty niż sportowca, nawet go trochę przypominał. Był jej pociechą, wypełniał pustkę po stracie Dougiego. Kim ona była dla Joego? Prawdopodobnie - jak widziała to teraz, z perspektywy lat - tym, czego mógł oczekiwać od żony młody prawnik: solidnym oparciem, osobą zdolną zadbać o rodzinę, męża i własną karierę. Wiele kobiet z jej pokolenia musiało się nauczyć, jak sprostać tym potrójnym obowiązkom. Poza tym Maggie była ładna, co w oczach Joego zapewne stanowiło pewien plus.

Tego samego dnia, gdy się wyprowadził, wyjęła ich album ślubny. Patrzyła na wspólne zdjęcie, na którym mąż obejmuje ją opiekuńczo, i ogarnął ją smutek. Wyglądała tutaj bardziej na jego własność niż na towarzyszkę. Dziwne, co można ujrzeć, gdy opada zasłona młodości. Ślub brali w dżinsach i koszulkach z napisami „Boston University”, jak przystało na ludzi z lat sześćdziesiątych. Ze zdjęcia spoglądała na nią dziewczyna z pewnym siebie uśmiechem, obwieszczająca całemu światu, że oto ma swojego mężczyznę, z którym zaczyna wspólne życie. Wtedy jeszcze była w niej miłość i namiętność. Wysłała ostatni list do Roberta Flauberta: krótki, serdeczny, z przeprosinami. Z nim może byłoby jej lepiej, może osiągnęłyby więcej. Mówiła sobie jednak, że żyje w kraju zaangażowanym w wojnę, a w czasie wojny żyje się trudno.

Zdarzają się straty. Nagłe rozstania. Przy każdej okazji brała udział w marszach antywojennych. W twarzach żołnierzy spotykanych na lotniskach, w metrze, w restauracjach widziała twarz Dougiego. Uciekała przed niewygodnymi prawdami, którym w tamtym czasie nie potrafiła sprostać. Wyszła za mąż kilka miesięcy po wysłaniu ostatniego - tchórzliwego - listu do Roberta.

Kilka lat później siedziała z Joem przed telewizorem w nowym domu wypełnionym krzykami córek, dwu- i trzyletniej. Oglądali wielogodzinne relacje z przesłuchań w aferze Watergate, widzieli, jak pokonany Nixon wsiada do helikoptera, umyka z centrum zamieszania przed niesławą, wycofuje się z życia, które wymarzył dla siebie i Pat. Wkrótce potem przeżyła kolejną tragedię osobistą, dotkliwszą jeszcze niż śmierć Dougiego, gdy matka wpadła pod koła ciężarówki. Przez kilka dni po wypadku nie mogła umrzeć, chociaż to określenie wydawało się Maggie absurdalne, jakby matka przez opieszałość lub roztargnienie zapomniała, na przykład, wyłączyć gaz. Później Maggie przeczytała gdzieś, że w Stanach wypadkom samochodowym ulega rocznie 87 000 osób. 17 lipca 1975 roku siedemnastoletni kierowca wypełnił swój „patriotyczny” obowiązek i wpisał się do statystyk. Tracąc panowanie nad wozem, powiększył listę ofiar. Statystycznie rzecz była prosta, emocjonalnie kompletnie Maggie załamała. Trzy lata później jej ojciec, z którym nigdy nie była blisko, poślubił Vivian, miłą, spokojną kobietę, pachnącą bzami i zawsze zaopatrzoną w białą chustkę do nosa.

Teraz ta kobieta siedziała w salonie na dole; popijała kawę, czekając, aż Maggie odwiezie ją i ojca na lotnisko. Wiedziała, że pasierbica szuka na strychu jakichś starych papierów, nie miała jednak pojęcia, że znalazła wykończoną koronką chusteczkę - skarb, który na pewno wzbudziłby uznanie Vivian. Nie miała pojęcia, że na dusznym strychu, na szczycie świata, Maggie przeżyła objawienie, gdy otworzywszy „puszkę Pandory” ze wspomnieniami uwolniła w końcu ducha Roberta Flauberta. Kochała go przez trzy lata, kiedy pracowała w *Jesiennym księżycu*. Może on mieszka jeszcze nad jeziorem. Może czas go oszczędził. Przeprósi go osobiście, zrobi to, co powinna była zrobić dwadzieścia pięć lat temu. Może się nie ożenił, a może, jak ona, też jest rozwiedziony. Tysiące „może”, które spełniłyby się, gdyby Dougie nie zginął na wojnie, gdyby Joe z rozwichrzonymi włosami, w bluzie z emblematem ich uniwersytetu, nie wzbudził w niej takiej ufności. Boston wygrał wtedy - przypomniała sobie raptem i uśmiechnęła się rozbawiona, że pamięć potrafi płatać podobne figle. Dlaczego przechowała rzecz tak błahą? Po meczu poszła z Joem na piwo. Był znajomym jej współlokatorki, podszedł, żeby się przywitać. Miał ramiona, na których mogła się oprzeć. Teraz dawały wsparcie Bridgette. Takie myśli wywołuje epifania: człowiek spogląda wtedy na wszystko z pewnej perspektywy. Maggie postanowiła wziąć roczny urlop naukowy. Przemyśli swoje życie. Wykorzysta okazję, która nigdy nie była dana jej matce, której nie miał chłopiec prowadzący tamtego dnia ciężarówkę. Miała przecież oszczędności,



mogła poza tym zdobyć dodatkowe pieniądze. Powinna była zdecydować się wiele miesięcy temu w trosce o własne zdrowie psychiczne. Zamknęła pudło z napisem: „Referaty ze studiów”, w którym przechowywała również listy Roberta i ową wykończoną koronką chusteczkę pachnącą jego ulubioną wodą kolońską -prezent na pożegnanie.

„Chcę, żebyś pamiętała mój zapach” - powiedział, całując ją na do widzenia, gdy stali koło jej błękitnego volkswagena garbusa.

W salonie uśmiechnęła się, widząc, jak Vivian chowa swoją chusteczkę do torebki.

- Znalazłaś to, czego szukałaś? - zapytała macocha.

- Nie. Przyniosłam stare listy. Chciałam je ponownie przeczytać - odparła Maggie, kładąc plik kopert na półce z ukochanymi pierwszymi wydaniem. Wzięła kluczyki ze stolika.

- Jedziemy? - Ojciec podniósł się z kanapy. Po trzydniowej wizycie wracali z Vivian do Bostonu, do domu, w którym Maggie się wychowała, pełnego bolesnych wspomnień Dougiego i matki.

- Jedziemy - rzuciła Maggie, biorąc torebkę.

- Tak świeżo wyglądasz z zaróżowionymi policzkami - powiedziała Vivian.

Maggie uśmiechnęła się. Czyżby na tym polegał sekret Bridgette? Czyżby wiedziała, że należy brać życie za rogi, zanim strąca człowieka na śmierć?

- Omal nie zapomniałam. - Zatrzymała się przy drzwiach, by wziąć jedną z walizek. - Czy mówiłam wam, że mam zamiar sprzedać dom?

*Powrót*

*30 kwietnia 1968*

*Little Bear Lake*

*Droga Maggie!*

*I znowu wiosna. Z południa wracają ptaki. Widziałaś je nad Bostonem? Słyszałaś nocą szum ich skrzydeł? Nie mogę się doczekać, kiedy wezmiesz z nich przykład i wrócisz do Little Bear Lake swoim błękitnym garbusem.*

Koniec sierpnia to w Kanadzie czas oszałamiających barw. Liście powoli żółkną, przygotowują się do zmiany kolorów na jesienne. Wiewiórki gromadzą orzechy, niebo przecinają klucze gęsi odlatujących do ciepłych krajów. Maggie leciała w przeciwnym kierunku. Nad Mississipi, nizinami Indiany i Ohio, zagłębieniem przemysłowym Erie, zachodnimi brzegami jeziora Ontario. Do Toronto. Lato odchodziło, a ona zmierzała pod prąd, na północ, cofała niejako zegar

swojego życia. Po przylocie wypożyczyła samochód, zapakowała do bagażnika dwie ciężkie walizy i pudło z książkami, bez których nie potrafiła żyć. Wyjechała z lotniska Pearson na autostradę nr 400, modląc się w duchu, by zdołała odnaleźć drogę do Litde Bear Lake. Po tylu latach z trudem rozpoznawała zmienione okolice. Kiedy już się zadomowi, sprowadzi resztę książek, zimowe ubrania i ulubione obrazy. Na razie wszystkie skarby złożyła w magazynie w Kansas City. Dom czekał na nowych właścicieli. Sprzedażą miała się zająć agencja. Joe przyrzekł, że dopilnuje transakcji.

- Zadzwoń do ciebie, jak tylko pojawi się jakaś korzystna oferta - obiecał i Maggie wiedziała, że może na niego liczyć. Był przecież prawnikiem, a połowa pieniędzy należała do niego. Dom był w dobrych rękach. Kiedy zostanie sprzedany, Maggie być może nigdy już nie usłyszy głosu byłego męża. Nie będzie miała okazji oglądać go w swoim salonie, spoglądającego na zegarek z miną kota, który właśnie pożarł kanarka. Minał prawie rok od chwili, kiedy jej wyznał, że znowu chce się czuć młody. Jak wielu mężczyzn w jego wieku zgłupiał dla dziewczyny niewiele starszej od własnych córek. Niech żyje, jak chce. W dwudziestą piątą rocznicę ślubu Maggie popijała nad basenem margaritę, słuchając audycji *Przeboje stare, ale jare*. Sama czuła się podobnie: „stara, ale jara”. Nie przyszło jej nawet do głowy, by sprawdzić, czy na progu nie leży bukiet róż. W przyszłym roku będzie obchodzić pierwszą rocznicę rozwodu. Kto wie? Może będzie celebrować ten dzień na brzegu Litde Bear Lake, gdzie spędziła tyle

wieczorów z Robertem Flaubertem? Usiądzie o zachodzie słońca na małym pomoście - jeśli się zachował - z butelką dobrego czerwonego wina i będzie obserwować unoszące się nad wodą nury. „Stara, ale jara”.

- Teraz pozostał mi tylko „dzień rozwodu” - powiedziała do Anity, która wpadła tego dnia na margaritę.

- To już nie napijemy się margarity w Dzień Niepodległości? - zmartwiła się przyjaciółka. Maggie skręciła z autostrady w boczną drogę, która wiała się między jeziorami i łąkami, dalej prowadząc przez lasy i wzgórza. Wysoko na niebie, niczym małe samoloty, krążyły szerokoskrzydłe jastrzębie, nad koronami świerków polatywały kruki. Poczuli się różnie zostawiający za sobą stary świat. Najpierw dojrzała szyld, potem budynek wyłaniający się jak ze snu. *Jesienny księżyc*. Nie widziała go ćwierć wieku. Pamiętała jego sylwetę skąpaną w ciepłym świetle, zapach bzów rosnących przy północnej ścianie. Lata mijały, a on czekał: zimą, gdy spędzała Boże Narodzenie w domu, z Joem i dziewczynkami, wiosną, gdy w Kansas City uciekała przed ulewami, jesienią, gdy na Beauchemin Street liście spadały z drzew. Gdy poprawiała prace seminaryjne studentów. Szczotkowała włosy. Kupowała rajstopy. Wysyłała życzenia świąteczne. Przez wszystkie te lata życie w małym zakątku świata toczyło się bez niej. „*Jesienny księżyc*. Obiady, dancing, cocktaile”.

Okna zabite deskami. Na ziemi cegły z komina. Dziedziniec zarośnięty trawą. Drzewa, których nie

pamiętała. Krzewy przesłaniające widok na jezioro. Ganek zapadł się lekko pod ciężarem milionów stąpień: także jej i Roberta Flauberta. Spod okapu wystawały źdźbła suchych traw, widomy znak, że w *Księżycu* zagnieździły się ptaki. Zapewne gospodarowały tu też myszy. Wiewiórki. Pajaki. W każdym razie budynek nadal komuś służył.

Maggie wysiadła z samochodu; zatrzasnęła drzwiczki. Gdzieś w oddali zakrakała wrona i znowu wszystko ucichło. Dopiero teraz, idąc w kierunku wejścia, zdała sobie sprawę, że ma łzy w oczach. Jak czas może płatać takie figle? Jak może być tak okrutny? Zawsze sobie wyobrażała, że *Księżyc* będzie na nią czekał, spowity w mglisty kokon wspomnień. Będzie czekał, aż ona wróci pewnego dnia, a wtedy otworzy przed nią podwoje. Ale czy nie powinna była nauczyć się od Donne'a, że „czas na człeka nie czeka”?

- Widocznie sądziłam, że poczeka na kobietę -mruknęła. Stała na ganku, lękając się zerknąć przez okno, zdjęta obawą, że wszystko okaże się prześnionym snem młodości. Nie będzie starej szafy grającej, wielkiego kamiennego kominka, lśniącego parkietu.

Wydawało się jej, że czuje zapach bzów, ale bzy kwitną przecież wiosną, kiedy ziemia uwalnia się z okowów zimy. Jesień też miała swój cudowny zapach spalanych polan klonowych snujący się w powietrzu, w którym czuło się już zapowiedź pierwszych mrozów. Maggie pamiętała zapach majowych bzów, gdy dzieliła czas między pracę i spotkania z Robertem, tak jak pamiętała muzykę jesiennego ognia na komi-

nku, gdy pod koniec września w *Jesiennym księżycu* organizowano wielką zabawę na koniec sezonu, a na niebie świecił księżyc w pełni - pełnia przypadała na ostatnie dni września. W te dni kominek z trzaskającym, buzującym ogniem zdawał się drugą szafą grającą. Tylko trzy wakacyjne pobyty, a zapachy i dźwięki na zawsze wryły się, nie, wypaliły ślad w pamięci Maggie. Przytknęła twarz do szyby. Wszystko było jak dawniej: długi bar, sosnowe ściany, żyrandol z koła od wozu - jakże bawił ich ten dziwny pomysł - drewniane stoły i krzesła. Nawet wiosła od kanoe Gila, właściciela *Księżycy*, nadal wisiały na ścianie za barem. Nie była to Copa Cabana, ale kto chciałby mieć Copa Cabanę w Little Bear Lake. Odstraszałyby tylko nury. Tymczasem *Księżyc*, ze swoim rustykalnym wnętrzem, dużym parkietem, barem w kształcie podkowy, mógł gościć jednako bogatych i biednych, starych i młodych, jakby opiekowała się nim jakaś leśna boginka. Ile to razy Maggie kończyła tu nocną zmianę, przeliczała pieniądze, zrzucała przepoconą bluzkę, spódnice, przebierała się w kostium kąpielowy, a potem wypływała z Robertem na jezioro w kanoe Gila, by zażyć kąpeli. Choćby i o drugiej nad ranem. Albo jechali przed siebie krętymi wiejskimi drogami, słuchając ulubionych przebojów płynących z samochodowego radia. Siedzieli w ciężarówce Robbiego w deszczowe noce, gdy krople dzwoniły o dach. Co powiedziałyby jej matka na te nocne eskapady, kiedy to Maggie i Robert zabierali ze sobą butelkę wina i wypływali daleko w jezioro, by stamtąd spoglądać na światła *Księżycy*, niczym

astronaucci krążący w przestrzeni kosmicznej i wyglądający powrotu na statek-matkę. Gdyby nie dziewczynki, ostatnie dwadzieścia pięć lat w życiu Maggie byłoby właśnie takim krążeniem w przestrzeni. Nie była samotna. Nie miała tylko mężczyzny. Dopiero gdy wracała do samochodu, zobaczyła tablicę; wiatr ją odwrócił, więc była teraz skierowana napisem w stronę podjazdu. „Sprzedam bezpośrednio. Tel. 702-6642”. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w ogłoszenie, usiłując złożyć oderwane fragmenty przeszłości w sensowny obraz. Z tego, co wiedziała, właścicielami *Księżycy* byli Gilbert i Maudy Ciarke. W dawnych czasach uważała ich za starych, ale musieli mieć wtedy po czterdzieści kilka lat. Cudowni ludzie. Przez dwa lata wysyłała im kartki z życzeniami świątecznymi, ale później, pochłonięta wychowywaniem dziewczynek, drastycznie zredukowała swoją listę adresową. (Robert Flaubert przez wzgląd na Joego nigdy nawet się na niej nie pojawił). Gil i Maudy... obydwójce przekroczyli już zapewne siedemdziesiątkę. Jeśli jeszcze żyją. Nadal byliby właścicielami *Księżycy*? To tłumaczyłoby, dlaczego został zamknięty. Trzeba wiele energii, by prowadzić bar. Chociaż Gil był kiedyś krzepki, dzisiaj trudno byłoby mu obsługiwać gości, toczyć beczki piwa, dźwigać skrzynki. A może - pomyślała Maggie, wzdragając się -obydwójce spoczywają już na cmentarzu w Little Bear Lake.

Gdy zapisywała numer na kartce papieru, nad jej głową przeleciał nur. Podniosła wzrok, podziwiając jego lekki lot, refleksy słońca na piórach.

Ptak zanurkował, zniknął w wodzie; tafla jeziora zamknęła się nad nim natychmiast, jakby go tam w ogóle nie było.

Maggie uśmiechnęła się. Była znowu w Little Bear Lake. Powinna pojechać teraz do małego motelu, który widziała po drodze, wziąć prysznic, zjeść coś ciepłego, a potem zadzwonić do starych znajomych.

Miała już siadać za kierownicą, gdy zza zakrętu wyłonił się samochód i zbliżał ku niej powoli. Widziała wpatrzone w nią, niemal rozbawione oczy kierowcy i pasażerki. Para starszych ludzi. Może ubawiła ich myśl, że niezbyt rozgarnięta turystka z miasta szuka popasu w *Księżycu*. Maggie skinęła głową. Samochód minął ją. Po chwili zapaliły się światła stopu. Wóz podjechał do niej na wstecznym biegu, syjąc żwirem spod kół.

Kierowca siedział cierpliwie, kobieta mierzyła ją badawczym wzrokiem. Obydwoje mieli zniszczone, zmęczone twarze.

- Jeśli chce pani coś zjeść, moja droga, musi pani jechać do Cindy's Cafe - powiedziała Maudy, wskazując w kierunku Fort Wallace. - To najbliższa restauracja.

- Dziękuję - odparła Maggie.

- *Księżę* nie działa już od trzech lat - wtrącił Gil.

- Właśnie widzę - przytaknęła Maggie.

Gil i Maudy Clarke! Nie poznali jej, ale ona ich rozpoznała. Dwadzieścia pięć lat temu, kiedy Maggie dopiero wchodziła w życie, które miało ukształtować jej rysy, ich twarze były już naznaczone zapowiedzią starości.

- Ta buda do nas należała - Gil ze smutkiem wskazał na *Księżyc*. - Nie dawaliśmy już sobie rady.



Maudy z coraz większym napięciem wpatrywała się w Maggie.

- Czy my się przypadkiem nie znamy?

- Oczywiście, Maudy. Znamy się. Sprzed wielu lat - odpowiedziała Maggie.

Raptem oczy Maudy rozbłysły - przypomniała sobie.

- Wielkie nieba, spójrz, Gil, to mała Maggie Patterson!

- Maggie? - Gil przyglądał się bacznie kobiecie stojącej obok samochodu. Wreszcie i on ją rozpoznał. - Nauczyłaś się w końcu roznosić piwo na tacy? - zapytał i uśmiechnął się szeroko.

- Nie bardzo - odparła.

- Coś musi być w powietrzu - powiedziała Maudy, ściskając przez okno dłoń Maggie. -

Zgadnij, kto wrócił z Toronto?

Maggie poczuła przyspieszone bicie serca. Czyżby Robert Flaubert? Czyżby pojawiła się w Little Bear Lake w tym samym momencie co on?

- Kto? - zapytała.

- Claire. Zatrzymała się u swojej matki - odpowiedziała Maudy.

*Spotkanie*

*2 maja 1968*

*Little Bear Lake*

*Gil i Maudy przygotowują Księżyc na otwarcie sezonu. Wbijam gwoździe, sprzątam, dźwigam skrzynki. Mam niebyle jakie powody: 1. pieniądze, forsa; 2. przyjazd Maggie Mary Patterson. Uprzątnąłem zeschnięte liście z naszej kryjówki. Wszystko gotowe, zielone, wiosenne. Chciałbym, żeby ktoś cieszył się tym ze mną. Może znasz kogoś takiego? Nie mogę się doczekać, kiedy Cię znowu przytulę.*

*Całuję. Rob*

Przerzuciwszy kilka stron cienkiej książki telefonicznej, Maggie znalazła bez trudu poszukiwany numer. W Little Bear Lake, może nawet w całym Ontario, mógł być tylko jeden Luther Findley. Maudy nie potrafiła powiedzieć, dlaczego Claire wróciła raptem do domu. Wiedziała tylko, że

ma zamiar zostać. Podobno była mężatką, miała dzieci. Czyżby i jej małżeństwo się rozpadło? Clarke'owie nie wspomnieli nic o Robercie. Maggie czekała, że któreś z nich coś powie. Nie doczekawszy się słowa, uznała, że nie będzie pytać. Porzuciła go. Maudy i Gil musieli o tym wiedzieć. Być może przez delikatność nie chcieli poruszać tego tematu. To nic. Dowie się wszystkiego od Claire. Była już od tygodnia w Litde Bear Lake i zapewne zdążyła wysłuchać najnowszych plotek. Dziwne... po dwudziestu pięciu latach przerwy wystukanie kilku cyfr na magicznym aparacie może na nowo połączyć nas z głosami z przeszłości.

W pierwszej chwili Claire nie mogła przypomnieć sobie, kim jest Maggie. Zorientowała się tylko, że dzwoni ktoś znajomy.

- Sama nie znoszę, kiedyś ktoś tak zaczyna rozmowę, ale zgadnij, kto mówi - powiedziała Maggie, kiedy usłyszała, że tak, przy telefonie Claire Findley. Nie miała ochoty pytać:

„Czy rozmawiam z Claire Findley, tą samą, która pracowała kiedyś w *Jesiennym księżycu*”? W ten sposób udzieliłaby Claire wskazówki. W końcu przez bar nie przewinęło się aż tak wiele kelnerek. Zapytała więc, czy rozmawia z Claire, której brat, Clarence, był kiedyś najlepszym w całym Ontario graczem w kanastę.

- Znasz Clarence'a? - zadziwiła się Claire.

- Zgadnij, kto mówi. Powiem ci tylko, że stara znajoma.

- Tutejsza czy turystka? Maggie wahała się przez moment.

- Powiedzmy, że turystka.

- No to nie zgadnę. Wiesz, ilu turystów przewija się tutaj w ciągu jednego sezonu: Kanadyjczyków, Amerykanów, Marsjan? Ludzie przyjeżdżają szukać śladów UFO pod każdą sosną i każdym świerkiem, w każdym kącie. Podejrzewam, że Monty Whitburne rozpuszcza takie pogłoski. Zdarzało mu się widywać już kiedyś różowe słonie. A ty z jakiej jesteś planety? Z Ziemi?

Maggie słuchała z uśmiechem. Claire nic się nie zmieniła przez te dwadzieścia pięć lat. Ani na jotę. Jak dawniej wygadana i zapewne jak dawniej dusza towarzystwa.

- Odpowiedz mi na jedno pytanie. Czy Monty ciągle ma starego czerwonego chevroleta? I czy dalej zastanawia się, kto mu go ukrył w leszczynie koło boiska do hokeja? - zapytała Maggie.

Po drugiej stronie zaległa cisza. Maggie niemal słyszała, jak Claire gorączkowo myśli. Przysięgły sobie nikomu nigdy nie zdradzić, że to one schowały samochód Monty'ego. One i Robbie. Trójka muszkieterów.

- Na Krisznię! Maggie? Maggie Patterson z Bostonu?

- We własnej osobie - odparła Maggie, zastanawiając się, czy bardzo zmieniła się Claire przez te wszystkie lata. Ciągle ma piegi na nosie?

- Nie wierzę! - zawołała Claire.

- Uwierz. To ja. Nikomu nie powiedziałam, kto ukrył samochód Monty'ego.

- Dwadzieścia pięć lat. Równie dobrze mogłabyś

spaść z Marsa. Myślałam często o tobie, zastanawiałam się, co porabiasz. Kilka dni temu powiedziałam sobie: Claire Findley, zobaczysz jeszcze tę kobietę.

Maggie poczuła ucisk w gardle. Dlaczego nigdy nie napisała do Claire? Bo była najlepszą przyjaciółką Roba. Dlatego. Zerwanie z Robertem oznaczało zerwanie z Claire.

- A więc nadal Claire Findley? - zapytała Maggie, nie chcąc na razie odpowiadać na pytania dotyczące jej życia.

- Długa historia. Słyszałam, że ty zmieniłaś nazwisko. Jak się miewa twój mąż?

- To jeszcze dłuższa historia - odpowiedziała Maggie.

- Mogę posłuchać. Mam czas. Dopiero ósma. Jedźmy na piwo do Fort Wallace. Pijasz jeszcze piwo?

- A Monty widuje jeszcze różowe słonie?

Umówiły się w Fort Wallace, w małym barze *Lakemew*, około dwudziestu kilometrów od Little Bear Lake. Claire miała coś do załatwienia, więc Maggie skróciła sobie oczekiwanie, objeżdżając jezioro i wspominając letnie wieczory z Robertem, kiedy to ładowali do jego ciężarówki chłodziarkę z piwem, zapuszczali się w boczne drogi i słuchali przebojów pop nadawanych przez stację w Toronto. Zwykle kończyli te eskapady w kryjówce Roba.

Mościli się na poszyciu z mchu, pod osłoną drzew, kołysani pluskiem fal. Jesienią, gdy Maggie przyjeżdżała na ostatni tydzień sezonu, mech był już zrudziały, usiany sosnowymi

igłami. Ich kryjówka. Tutaj kochała się po raz pierwszy, nieśmiała studentka z Bostonu. Następnego lata Rob namówił Gila, żeby sprzedał mu kawałek ziemi z kryjówką i, ku zaskoczeniu Maggie, zbudował niewielki pomost wychodzący w jezioro, tylko dla nich dwojga. Wieczorami, kiedy obliczyła już kasę, wybiegała z *Księżycyca*, przecinała parking przed barem i przez las szła do Roberta. Koło pagórka porośniętego świerkami słyszała już zwykle muzykę dochodzącą z radia tranzystorowego, ulubione piosenki Robbiego: *Honey, Judy In Disguise, Mrs. Robinson, Hey Jude, Love Child, Green Tambourine, I Heard It Through The Grapevine, This Guy's In Love With You*. Ostatnia - „Ten chłopak zakochał się w tobie” - zdawała się mówić o Robercie, po uszy zakochanym w Maggie Mary Patterson. Tak samo jak ona w nim. Ponieważ nie czuła się swobodnie w pokoju, który Maudy i Gil przydzielili jej w *Księżycu*, spotykała się z Robertem w leśnej kryjówce. Czasami przychodził po nią do baru, wsiadali do kanoe i wiosłowali po jeziorze w świede księżycyca. Pewnego razu nie czekali, aż znajdą się w kryjówce, na miękkim poszyciu z mchu. W oddali na brzegu jarzyły się światła *Księżycyca*. Robbie odłożył wiosło, spojrzał na nią. Takim go zapamiętała: skąpany w księżycowej poświacie, z nagim torsem, zwraca się ku niej, dotyka jej policzka srebrzystymi palcami, w srebrzystą noc, w czasie lipcowej pełni, na srebrzystym jeziorze. Bywało, że to srebrzyste wspomnienie budziło ją ze snu. Leżała w ciemnościach, w swoim domu w Kansas City, w Missouri, w Stanach Zjednoczonych, u boku męża, Joego McIntyre'a, póki

utkana ze srebrnej poświaty zjawa nie zniknęła. Dopiero wtedy zasypiała na powrót, zostawiając Roberta Flauberta na Litde Bear Lake. Żartował, że pierwszą książką, jaką napisze, będzie podręcznik *Jak kochać się w kanoe i go nie wyrzucić*. Czy rzeczywiście został pisarzem? Niekiedy, zachodząc do księgarni, Maggie pytała: „Czy macie może coś Roberta Flauberta?” Potem czekała z bijącym sercem, aż ekspedientka sprawdzi nazwisko na mikrofiszach. Mikrofisz zniknęły, zastąpiły je katalogi komputerowe, ale i w nich nie było Roberta Flauberta. Tylko Gustave, jego przodek, jak Robert twierdził w żartach. Po raz ostatni pytała w małej, pretensjonalnej księgarni w San Francisco, gdy pojechała do Berkeley na seminarium poświęcone Poundowi. W dziale klasyki zobaczyła plakat z podobizną Gustave'a Flauberta i hasłem *L'art pour l'art*. Pomyślała wtedy o Robercie, podeszła do informacji, zapytała o jego książki. Ekspedientka wystukała nazwisko, odczekała chwilę.

- Nie, Roberta Flauberta nie mamy nic - odparła stanowczym tonem. - Zna pani może jakieś tytuły jego książek?

Maggie miała już powiedzieć nie, lecz raptem się uśmiechnęła.

- Napisał chyba podręcznik *Jak kochać się w kanoe i go nie wyrzucić*.

Dziewczyna wpatrywała się w nią z obojętną miną.

- A może chodziło o film - powiedziała Maggie i wyszła z księgarni. Zdarzyło się to siedem lat temu. Od tamtego czasu przestała pytać o Robbiego. *L'amour pour l'amour*. Wkrótce pozna odpowiedź.

- I pomyśleć, że jednak znowu się spotkałyśmy -zawołała Claire, kiedy już się wyściskały z takim zapamiętaniem, że ludzie zaczęli popatrywać na nie od swoich stolików. Usiadły w pustym kącie sali koło baru. Claire trochę przytyła, ale poza tym pozostała tą samą Claire. Te same piegi, we włosach przepaska podobna do tych, które nosiła w latach sześćdziesiątych.

- Nic a nic się nie zmieniłaś. Nawet nie przytyłaś. To nie w porządku - powiedziała.

- Biegam cztery mile dziennie i częściej czytam informacje na opakowaniach jedzenia niż wiersze. Sprawdzam ilość tłuszczu w każdym produkcie. Męczące zajęcie - pocieszyła ją Maggie. - Powiedz, co u ciebie?

- Chcesz wysłuchać nudnego sprawozdania? W porządku. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym roku wyszłam za niejakiego Charlesa Bla-keya. Urodziłam dwójkę dzieci. Przez kilka lat byłam w separacji z mężem. Rozwiedliśmy się w osiemdziesiątym piątym roku. W osiemdziesiątym szóstym wyszłam drugi raz za mąż za faceta nazwiskiem John Buck. Po roku małżeństwo się rozpadło. Obydwoje byliśmy rozwiedzeni, a to nigdy dobrze nie wróży. Średnio inteligentna szympanśca miałaby się na baczności, tymczasem ja co zrobiłam? Wyszłam po raz trzeci za mąż; nazywał się Christopher Dean. Tego kochałam tak jak kiedyś, dawno temu, Charliego. Powinno mnie tknąć, bo był dokładnie taki jak Charlie. Mówiłam zawsze, że Charlie oszukuje mnie, nawet kiedy śpi. I rzeczywiście. Budziłam się w nocy,



a on śnił o jakichś kobietach i z błogim uśmiechem na twarzy ścisnął w ramionach poduszkę. Po roku człowiek zwykle się otrząsa, szczęśliwy, że ma to za sobą, ale ostatnim razem było mi naprawdę ciężko. - Dała znak kelnerce, żeby podała następną kolejkę piwa.

- Przykro mi - powiedziała Maggie.

- Obydwie moje dziewczyny już studiują, pomyślałam więc, że wrócę do domu i spróbuję uładzić życie. Tutaj są porządni faceci, ja tymczasem ciągle trafiałam na kiepskie egzemplarze.

- Masz dwie córki? Ja też.

- A ciebie co sprowadza na ten koniec świata? -zapytała Claire.

Maggie odczekała, aż kelnerka postawi piwo na stoliku i zniknie za barem.

- Wygląda na to, że mniej więcej to samo co ciebie. Też powinnam uporządkować swoje sprawy -odparła wreszcie.

- Mąż?

- Joe McIntyre. Pewnego dnia w zeszłym roku oznajmił mi, że spotkał miłość swego życia. Dziewczyna ma dwadzieścia siedem lat i była asystentką w jego kancelarii.

- Chryste, co za gówniana historia. - Claire westchnęła.

- Sprzedałam dom, wzięłam roczny urlop na uniwersytecie. Nie mam pojęcia, co będę robiła, wiem tylko, że muszę uładzić swoje sprawy. Robert Flaubert jest jedną z nich - zakończyła Maggie swoją relację.

Claire wpatrywała się w nią bez słowa.

- Robbie? - powtórzyła w końcu.

Maggie skinęła głową. Czyżby się jej zdawało, że głos Claire lekko zadrzał?

- Powiem mu prosto w oczy, że żałuję, i będę mogła zacząć wszystko od nowa. Kto wie. Pierwsza miłość nie przechodzi tak łatwo. Chyba że jest szczęśliwy, to co innego.

Umieram z ciekawości, żeby ktoś wreszcie opowiedział mi o nim. W samolocie do Toronto, potem w drodze tutaj myślałam cały czas tylko o nim.

Kto jak kto, ale Claire powinna doskonale wiedzieć, co się dzieje z Robertem. W małych miasteczkach ludzie nie tracą łączących ich więzów. Żyją trochę jak w rodzinie. Nawet jeśli ktoś wyjeżdża w świat, zostaje matka, ojciec, siostra, brat, babka, jakiś kuzyn albo przyjaciele, ktoś, kto wie. Tak naprawdę nie sposób uciec z małego miasteczka. To rodzaj prawa powszechnego. A Robert Flaubert i Claire Findley byli sobie bliscy jak brat i siostra.

- Co się z nim dzieje? - zapytała Maggie i zobaczyła, że oczy Claire zwilgotniały. -

Mieszka tutaj? Ożenił się? Musiał się ożenić. Jest szczęśliwy? Wyprowadził się?

- Chryste - mruknęła Claire i wytarła nos w serwetkę. - Nic nie wiesz?

- Dopytywał się o mnie? - Maggie nie słuchała. Zbyt długo czekała na odpowiedzi. Widok Claire obudził stare wspomnienia, wspomnienia *Księżycy*, wielkiego parkietu, szafy grającej, letnich nocy, piwa popijanego na pomoście nad jeziorem, wygrzewania

się w słońcu. Wspomnienia młodych ciał i umysłów gotowych podbijać świat. Wspomnienia trójki muszkieterów: Claire Findley, Robert Flaubert i Maggie Patterson. Claire odłożyła w końcu serwetkę.

- Nie, nigdy stąd nie wyjechał - powiedziała. - Ożenił się z dziewczyną z Coreysville. W siedemdziesiątym roku. Urodziła jedno jedyne dziecko. Czy był szczęśliwy? Pewnie tak jak my wszyscy borykał się z różnymi sprawami. Myślę, że bardzo kochał Julię. Uwielbiał syna.

Maggie milczała. W słowach Claire było coś ostatecznego. Wreszcie do niej dotarło.

- Gdzie on jest? Claire, gdzie on jest?

- Po raz ostatni widziałam go w dziewięćdziesiątym roku - odparła Claire, nie patrząc na Maggie. Odwróciła wzrok w kierunku Little Bear Lake, tak jakby próbowała dostrzec gdzieś tam Robbiego, który z uśmiechem na twarzy czeka na niej obok kanoe. - Przed ślubem z Christopherem przyjechałam na kilka dni do domu. Chciałam odpocząć. Wynajęliśmy z Robbiem kanoe i wypłynęliśmy na jezioro. Było wspaniale, jak za dawnych czasów. Potem wróciłam do Toronto. Tydzień później Robbie już nie żył. Zawał. Maggie nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Przez cały dzień, od chwili przyjazdu do Little Bear Lake, czuła wszędzie obecność Robbiego, jego zapach zmieszany z zapachem świerków i wody. Miała niemal wrażenie, że dotyka jego skóry. „Jeśli jest żonaty - mówiła sobie - zamienię z nim kilka słów i wyjadę. Zostawię go w spokoju. Nie zrobię tego, co Bridgette

i Joe zrobili mi. A jeśli jest sam? Jeśli na mnie czeka? Co wtedy?" Tak była pochłonięta podobnymi myślami, że nie przyszło jej do głowy, iż Robert Flaubert, który w jej pamięci zachował się takim jak ćwierć wieku temu, mógł przenieść się na tamten świat. Nie pomyślała, że nie będzie już mogła porozmawiać z nim, dotknąć go. Odszedł na zawsze, zniknął jak nur, którego widziała kilka godzin wcześniej. Zniknął, nie pozostawiając nawet kręgów na wodzie. Tak jakby nigdy nie istniał.

- Muszę stąd wyjść. - Maggie podniosła się z trudem i sięgnęła po torebkę.

- Idę z tobą - zaofiarowała się Claire.

- Nie, proszę. Umówmy się na jutro na lunch. Porozmawiamy, ale teraz muszę zostać sama.

- Witaj w domu, kochanie - powiedziała cicho Claire.

*Strata*

*7 października 1969*

*Little Bear Lake*

*Droga Maggie! Wieje lekki wiatr. Nad zatoką księżyc jak rogalik. Tak tu pusto jesienią. Wszyscy się rozjechali i gęsi odleciały. Czasami czuję się nikomu niepotrzebny, ale wtedy przypominam sobie lepszą chwilę. Jest lato, w Księżycu głośno gra szafa i znowu jesteśmy razem. Wrócisz tu w przyszłym roku. Chwała na wysokościach i pokój na ziemi.  
Kocham Cię. Rob*

To był ostatni jego list. Dołączył do niego rysunek jeziora w nocy. Rysunek, w którym czuło się samotność. Po kilku dniach dostał list od Maggie. Pisała, że wszystko skończone. Rozłożyła teraz jego listy na łóżku: jesienne, zimowe, wiosenne. Przywiozła je ze sobą. Przez tyle lat nie

była w stanie zajrzeć do nich ponownie. Nie potrafiła. Dopiero w samolocie do Toronto zamówiła kieliszek czerwonego wina i wyjęła pierwszy list:

*9 września 1967*

*Droga Maggie!*

*Już tęsknię Zz Tobą. Dłużyć się będą zima i wiosna bez Ciebie. Pocieszam się, że za dwa tygodnie przyjedziesz na Zabawę dożynkową. Chciałbym Ci powiedzieć, że naprawdę tak myślałem, kiedy ostatniego wieczoru przed Twoim wyjazdem powiedziałem Ci, że Cię kocham. Zawsze będę Cię kochał. Jesteś najwspanialszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkałem. Śniłaś mi się minionej nocy. Dotąd śnił mi się tylko hokej. Żartuję. Claire przesyła pozdrowienia. Nie zapominaj o mnie.*

*Rob*

Czytając, zbliżała się do Litde Bear Lake, wracała do przeszłości, by oddać należny jej szacunek. Przeszłość kształtuje nas raz na zawsze. Ćwierć wieku temu Maggie, zbyt młoda i naiwna, jeszcze tego nie rozumiała. Gdy przejeżdżała koło cmentarza w Litde Bear Lake, nie wiedziała, że umarł. Zawał. Czy przyczyniła się w jakiś sposób do jego śmierci? Czy nieszczęśliwa miłość może złamać serce na zawsze? Claire mówiła, że się ożenił i że bardzo kochał swoją żonę. A jednak to, że umarł na zawał, nie dawało Maggie spokoju. Zdawała sobie sprawę, że złamała mu serce. I ono go zabiło. Już nigdy mu nie powie, jak jej przykro, ani że przez te wszystkie lata przechowywała w pamięci jego obraz.

W motelu przeczytała drugi list od Robbiego, potem trzeci i czwarty, piąty... Czytała do późna w nocy, odkładając na bok rysunki; szkice z natury przedstawiające kwiaty, owady, drzewa. Odczytywała przeszłość, studiowała ją niczym podręcznik do historii, który w każdej chwili można wyjąć z półki i otworzyć na dowolnej stronie, wrócić raz jeszcze do minionych wydarzeń. Czytała, dopóki nie usłyszała, że za oknem budzą się ptaki. Stawały jej przed oczami gorączkowe wieczory wypełnione pracą, kapryśni turyści, parkiet pełen spoconych ciał, napiwki na jej tacy, spojrzenia Robbiego, który zwykle siadał przy barze, czekając, aż Maggie skończy obsługiwać gości. A potem nocny wiatr wiejący od jeziora, ściganie się z czasem, wesoły śmiech Claire i w końcu złamane serca, rozczarowania, świat, w którym żadne z nich trojga nie czuło się dobrze.

Powiedziała Claire, że trzeba jej trochę czasu, by pogodzić się z wiadomością, i że dojdzie szybko do siebie. Mówiła prawdę. Nie należała do typów samobójczych. Miała przecież dwie córki, o których powinna myśleć. Nie łagodziło to jednak bólu po stracie Robbiego. A już miała nadzieję, że znowu będzie blisko niego. Pozostały tylko listy, z zapisaną w nich historią miłości. Czytała je po kolei, najpierw te pisane od jesieni 1967 do wiosny 1968 roku. Czytała i miała wrażenie, że nic złego nie zaszło, że przeżywa wszystko raz jeszcze, że ma przed sobą przyszłość, tym razem udaną, przyszłość, nad którą potrafi zapanować, ułożyć po swojej myśli. Robbie żył, pisał listy miłosne.

4 czerwca 1968

*Pracujemy bez wytchnienia. Przygotowujemy Księżyc do otwarcia. Gil dał mi w zeszłym tygodniu podwyżkę. To ostatni list do Ciebie. Już za kilka dni pojawisz się tutaj w swoim niebieskim garbusie, a ja znowu będę szczęśliwy. PS. Serdeczne zaproszenie do naszej kryjówki. Czeka tam na Ciebie wielka niespodzianka i butelka wina.*

*Całuję. Robbie*

Niespodzianka polegała na tym, że Robbie kupił od Gila splechetek ziemi z ich kryjówką i zbudował mały pomost wychodzący w jezioro. Zamierzała wybrać się tam jutro, zobaczyć, co zostało z pomostu. Tymczasem wtuliła głowę w poduszkę i płakała, dopóki poduszka nie zwilgotniała od łez. „Zasłużyłam na to, zasłużyłam, zasłużyłam” - powtarzała bez końca, aż wreszcie zmęczona usnęła. I oto o świcie, w małym motelu nad brzegiem jeziora, Robert Flaubert wrócił do niej we śnie. Znowu widziała, jak skąpany w srebrzystej poświacie księżyc nachyla się ku niej, kanoe zaczyna się kołysać, cały świat znika. Są tylko oni dwoje i łącząca ich namiętność.

Z Claire spotkała się w południe, w Cindy's Cafe, tak jak obiecała.

- Chryste - westchnęła Claire, przywołując swoje ulubione zaklęcie. Robbie powiadał, że jest bardziej pobożna niż siostry, które uczyły go w szkole podstawowej. Nawet one nie wzywały tak często imienia Jezusa. -Koszmarne wyglądasz. W ogóle nie spałaś? Zjesz coś?



- Sałatkę. - Maggie najchętniej nic by nie zamawiała.
  - Mag, kochanie, byłam przekonana, że Maudy i Gil powiedzieli ci o Robercie. Przykro mi, że nie przekazałam ci tego w łagodniejszy sposób.
  - Niby jak? - zapytała Maggie. - Nie ma łagodniejszego sposobu. - Utkwiła nieruchomy wzrok w Claire. - Chcę wiedzieć. Muszę wiedzieć. Czy pytał o mnie? Czy wspomniał kiedykolwiek moje imię?
- Claire westchnęła ciężko. Ciągle jeszcze trudno jej było mówić o Robercie. Dotąd nie pogodziła się z jego śmiercią.
- Jasne, że pytał - odpowiedziała wreszcie. - Ale znasz Roberta. Nigdy nie okazałby, jak bardzo mu ciężko. Nie chciał, żebyś wiedziała, że pytał.
- Maggie uśmiechnęła się smutno. Cały Robbie. Zawsze dumny.
- Twoja ciotka, jakżesz ona miała na imię, przyjeżdżała tu na wakacje jeszcze przez kilka lat.
  - Rachela. To ona powiedziała mi o pracy w *Księżycu*.
  - Właśnie. Za każdym jej przyjazdem powtarzało się to samo. Ledwie zdążyła zainstalować się w swoim domku, Robbie przybiegał do mnie do *Księżycy* i prosił, żebym poszła dowiedzieć się czegoś o tobie. Chciał wiedzieć, gdzie mieszkasz, jakie masz plany. Chodziłam więc do twojej ciotki i wypytywałam o ciebie. Od niej, w wakacje siedemdziesiątego roku, dowiedzieliśmy się o twoim małżeństwie. Cztery miesiące później Robbie się ożenił. Julia była w ciąży. Następnego lata Rachela przywiozła wiadomość

o twoim pierwszym dziecku. Jeśli pamięć mnie nie myli, syn Robbiego miał wtedy dwa miesiące. Rok później usłyszeliśmy, że urodziłaś drugą córkę. Robbie nie musiał mnie nawet specjalnie naciskać, żebym pytała o ciebie. Sama byłam ciekawa, jak ci się wiedzie, a on nie chciał, żeby twoja ciotka wiedziała, że ciągle go obchodzisz. Wiedzieliśmy i to, że twój mąż jest prawnikiem i że wróciłaś na studia. Pewnego roku twoja ciotka się nie pojawiła. Zniknęła równie nieoczekiwanie jak ty. Życie toczyło się dalej. Robbie zbudował dom, zajął się wychowywaniem syna. Ja wyjechałam do Toronto.

- Co się stało z jego żoną? - spytała Maggie, zdziwiona, że myśl o tej kobiecie wywołuje w niej dziwne odczucia. Czyżby zazdrość? Wszak Julia spędziła z nim wszystkie te lata, urodziła mu dziecko, umiała zobaczyć w nim wartościowego człowieka.

- Wróciła do Henderson Cove. To jakieś trzynaście kilometrów stąd. Stamtąd pochodzi, tam mieszka jej rodzina. Po śmierci Robbiego musiała czuć się bardzo samotna w Litde Bear Lake. Tu było zbyt wiele wspomnień - odparła Claire.

- A ich syn? - dopytywała się Maggie. Jaki on był? Tak bardzo żałowała, że Robert nie pozna jej dziewczynki. W samolocie do Toronto wyobrażała już sobie, jak mu je przedstawia, pewna, że u Diany dostrzeże odziedziczone po matce poczucie humoru, a u Lucy jej głód wiedzy. A jaki jest jego syn?

- Mieszka tu nadal, w domu Robbiego. Nie widziałam go od wielu lat. Kiedy odwiedzałam Roberta, chłopaka nigdy nie było. Słyszałam, że załamał się

po śmierci ojca. Od Maudy wiem, że chciał być leśnikiem, tak samo jak on, ale kiedy Robbie umarł, rzucił szkołę, zerwał z przyjaciółmi, zamknął się w sobie.

- Leśnikiem? - zdziwiła się Maggie. Claire odpowiedziała z uśmiechem.

- Robbie mógł być świetnym pisarzem, ale jednak wybrał lasy i jeziora. Wiesz, jak je kochał. Za nic nie zostawiłby Litde Bear Lake.

Maggie skinęła głową. Po jeziorze pływała jakaś para w żółtym kanoe. Na przeciwnym brzegu wielobarwne jesienne liście odcinały się wyraźnie na de zielonych świerków. Z jakiegoś komina unosił się dym, kreśląc szarą smużkę na błękitnym niebie. Obraz stworzony dla Roberta Flauberta. Maggie miała ochotę spytać wprost: „Wybaczył mi?”, ale nie potrafiła się na to zdobyć. Jeszcze nie teraz. Jeszcze nie. Kiedy obudziła się rano z zapuchniętymi oczami, po raz pierwszy od tylu lat znowu w Litde Bear Lake, podjęła decyzję. Być może z czasem wydobędzie z Claire najbardziej intymne szczegóły.

„Wybaczył?” Tymczasem postanowiła zająć się sprawami, na które mogła mieć wpływ. Zamówiła drugą kawę.

- Można powiedzieć, że ostatnie dwadzieścia pięć lat przeżyłam zgodnie z planem A.

Chcesz usłyszeć o planie B?

Claire spojrzała na nią zaintrygowana; skinęła głową.

- Mam zamiar kupić *Jesienny księżyc* i przywrócić go do życia. Radzę ci, wyciągnij z szafy wieczorowe buty.

- Żartujesz chyba? - Claire była szczerze zdumiona.
  - Nie, nie żartuję. Dzwoniłam do Gila. Dzisiaj po południu spotykamy się w jego banku. Formalności zabiorą trochę czasu, ale Gil nie ma nic przeciwko temu, żebym już teraz zabrała się za remont. Tym bardziej że do żniwnej pełni zostało ledwie pięć tygodni, a właśnie wtedy chciałabym urządzić otwarcie i jeszcze raz przed śmiercią zatańczyć na zabawie dożynkowej, choćby i bez Robbiego. Wprowadzę w *Księżycu* zmiany. Nie będzie obiadów, tylko tańce i drinki.
  - Tak powinno być już wtedy, kiedy tam pracowałyśmy - westchnęła Claire. - Do tej pory pamiętam zapach ryb roznoszący się z kuchni. - Wpatrywała się w Maggie z uśmiechem kota z Cheshire, jakby usiłowała wyobrazić ją sobie w roli nowej właścicielki.
  - Jutro dam ogłoszenie. Muszę znaleźć kogoś, kto pokieruje robotami. Wiesz, kogoś, kto doglądałby wszystkiego, składał zamówienia na materiały, pilnował terminów. Gil się tego nie podejmie.
- Claire uśmiechnęła się jeszcze szerzej. *„Jesienny księżyc Dancing i cocktaile”*.
- Dalej tak kiepsko ci idzie roznoszenie tac z piwem? - zadała to samo pytanie co Gil. Maggie pokręciła głową.
  - Będę potrzebowała doświadczonych kelnerek.
  - I kogoś, kto poprowadzi bar - dodała Claire. - Przyjmuję ofertę. Kiedy ty zarabiałaś na życie opowiadaniem o Szekspirze, ja uczyłam się, jak przyrządzać najlepszą w Toronto krwawą Mary.

- No, to masz pracę - powiedziała Maggie. Przez chwilę siedziały w milczeniu, spoglądając na gładką tafłę jeziora i wsłuchując się w gwar dochodzący od sąsiednich stolików. Brak było tylko Roberta.
- Minęło dwadzieścia pięć lat, a my wracamy do punktu, z którego zaczynałyśmy - odezwała się w końcu Claire.
- Najwyższy czas - powiedziała Maggie.

*Remont*

*8 listopada 1968*

*Little Bear Lake*

*Droga Maggie!*

*Dzisiaj na niebie czerwone słońce, a przy brzegu jeziora lód. Powoli zaczynają się mrozy. Wczoraj rano widniałem nad wodą dwa jelenie. Pomyślałem o Tobie, o nas, o dawnym Zrządzeniu, które sprawiło, że nasze losy się połączyły. Na Zawsze. Tak pusto w Little Bear Lake bez Ciebie. Nawet jelenie trzymają się razem. Pocieszam się, że z wiosną przyjdzie odwilż, a latem pojawi się Maggie. Wracaj szybko.*

*Całuję. Rob*

Od przyjazdu Maggie do Little Bear Lake minęło zaledwie pięć dni, a tak wiele się przez ten czas zdarzyło. Najważniejsza była wiadomość o Robercie Flaubercie. Czy kiedykolwiek o nim zapomni? Czy pozwoli mu odejść teraz, gdy

oddycha tym samym co on powietrzem, przesiaduje nad jego jeziorem, słucha krzyków jego nurów? Być może w tym zmaganiu ze sobą odkryje, kim jest i czego chce. Czy nadal będzie profesorem literatury? A może stanie się kimś na podobieństwo panny Kitty Gunsmoke, co wieczór stojącej za barem w oczekiwaniu, że Matt Dillon wreszcie ją pocałuje. Jej Robbie nie pocałuje jej już nigdy. Odszedł na zawsze.

Formalności związane z kupnem *Księżycy* posuwały się powoli do przodu. Wkrótce miała się stać jego właścicielką. Okazało się, że lokal jest w bardzo dobrym stanie. Maudy i Gil dbali o swoją tancbudę, nawet po jej zamknięciu. Remont ograniczył się właściwie do kosmetyki, ale Maggie i tak miała urwanie głowy, ponieważ spieszyła się z otwarciem; chciała, by przypadło na sobotę 23 września, w jesienne zrównanie dnia z nocą. Zbieżność wróżyła pomyślność. W *Księżycu* zawsze odbywały się wielkie zabawy dożynkowe, acz nie zawsze przecież równonoc jesienna przypadała na przedostatnią sobotę września. W 1995 roku tak miało być: sobota dożynkowa, zrównanie dnia z nocą i pierwsza jesienna pełnia.

Z błogosławieństwem Gila Maggie wzięła się do dzieła. Dała ogłoszenie w lokalnym tygodniku, że poszukuje kogoś, kto nadzorowałby roboty i kto po skończeniu remontu mógłby zostać w *Księżycu* tzw. złotą rączką. Czekać na oferty, zajęła się sprawami osobistymi. Samochód sprzedała jeszcze w Kansas City, należało więc kupić nowy. Zdecydowała się na małego zielonego firebirda, idealny wóz na jej potrzeby, po czym przy pomocy Claire próbowała do

prowadzić do ładu małe, trzypokojowe mieszkanie nad barem. Po tygodniu, odmalowane i odświeżone, zmieniło się nie do poznania. Ze sklepu w Coreyville dostarczono nowe wykładziny i zasłony. W tym samym Coreyville znalazła w antykwariacie szafy biblioteczne, w których ustawiła swoje książki. Ściany ozdobiła reprodukcjami grafik impresjonistów. W pokoju przeznaczonym na gabinet do pracy ustawiła biurko z drzewa czereśniowego i poczuła się niemal jak w domu. Za czasów wakacyjnych przyjazdów do Little Bear Lake ten sam pokoik był jej sypialnią. Ileż to razy w nocy spoglądała przez okno na jezioro, w kierunku zatoczki z pomostem, odległej zaledwie o pół kilometra. Tak było wtedy, kiedy zbyt zmęczona nie miała siły spotkać się z Robbiem po pracy. Padała wyczerpana na łóżko, a potem budziła się raptem w środku nocy, jakby czuła, że on czeka w ich kryjówce i że jej wypatruje. Odrzucała kołdrę, wstawała z łóżka, podchodziła do okna i nasłuchiwała tak długo, dopóki wyłowiła niosące się po wodzie, ledwie słyszalne dźwięki muzyki. To Robbie słuchał swoich ulubionych przebojów. Niekiedy, jeśli była jasna księżycowa noc, widziała zarys jego sylwetki na pomoście. Siedział tam przepełniony miłością do niej, do jeziora, nieba i drzew. Ukochał przyrodę tak bardzo, że oddawał jej każdą chwilę. „Jezioro to twoja choroba” - pokpiwała z niego Maggie. Spoglądała teraz na nie znowu, z tego samego pokoju, ale po wodzie nie niosła się już muzyka dochodząca z radia Robbiego. Kiedy pojawiła się w *Księżycu* po raz pierwszy po podjęciu decyzji o kupnie lokalu, stanęła na werandzie



i odszukała wzrokiem miejsce, gdzie niegdyś był pomost. Dojrzała go od razu, ale nie mogła się zdobyć na to, by tam pójść. Jeszcze nie. Budził zbyt wiele bolesnych wspomnień. Uciekając od nich, zajęła się urządzaniem mieszkania i remontem *Księżycy*. Po tygodniu wyteżonej pracy uznały z Claire, że pokoje na górze są gotowe i przytulne. Jeszcze tylko kilka roślin i Maggie mogła się wprowadzić. Gdy zmordowana Claire zostawiła ją wreszcie samą, zapaliła świece, napełniła wannę wodą i zanurzyła się w kąpieli. Po wyjściu z łazienki włożyła swoją ulubioną flanelową piżamę. Wieczorami robiło się już chłodno, a chciała położyć się przy otwartych oknach i chwilę poczytać, słuchając plusku fal. Miała zamiar zamknąć okna przed snem, ale przysnęła z książką w dłoni. Obudziła się o pierwszej w nocy. Usłyszała dochodzącą gdzieś od jeziora muzykę i poczuła, jak przez całe jej ciało przebiega nagły dreszcz. Muzyka z jeziora! Podeszła do okna. Nie, nie myliła się, po wodzie niosły się zjawiskowe dźwięki, jakby po latach powracały do niej duchy melodii, których słuchał Robbie. Serce biło jej mocno. Kto włącza radio o tej porze? -pomyślała ze złością, ale po chwili gniew ustąpił miejsca rozbawieniu. Uśmiechnęła się. Iluż czterdziesto- i pięćdziesięciolatków musiało się złościć, słysząc radio Roberta. Wszystko jest kwestią punktu widzenia. Zamknęła okno, ale do rana nie mogła już usnąć. Dopiero kiedy do pokoju zaczęło się sączyć pierwsze światło brzasku, zapadła w głęboki sen. O dziesiątej obudził ją dźwięk telefonu. Zamierzała wstać o siódmej i o ósmej być już na dole, by doglądać

prac remontowych! Zaspana powlokła się do maleńkiej kuchni, nastawiła ekspres i przeszła do gabinetu, by odsłuchać wiadomość nagraną na sekretarce. Od Claire. „Zadzwoń do mnie natychmiast. Nie uwierzysz, z kim rozmawiałam. A właściwie dlaczego nie odbierasz? Nieważne. Czekam na telefon. To pilne”. Maggie naląła sobie pierwszy tego ranka kubek kawy i miała zamiar oddzwonić do Claire, gdy usłyszała, że pod *Księżyc* podjeżdża jakiś samochód. Wyjrzała przez okno: zielona furgonetka. Claire najwidoczniej nie mogła się doczekać, ale taka właśnie była: zawsze żyła dramataми i sensacjami. Maggie zeszła na dół, wyszła na podjazd. I tu wrosła w ziemię. Kubek wypadł jej z dłoni. Miała wrażenie, że ziemia usuwa się jej spod stóp i cały świat się rozpada.

- Jeszcze się nie obudziłam. To jakiś okropny sen - szepnęła.

Stał przed nią Robert Flaubert, jak żywy. Robbie. Kiedy się uśmiechnął, poczuła wzbierający w gardle krzyk: jednocześnie bólu i zachwytu. „Robbie, kochany”. Schylał się właśnie, żeby zebrać skorupy.

- Przestraszyłem panią? - zapytał.

Maggie nie była w stanie odpowiedzieć. Uśmiech Robbiego, jego głos, te same ciemne, niemal czarne oczy, ciemne, opadające na kołnierz włosy. Robbie w spranych dżinsach i kowbojskich butach.

- Zajrzałem, żeby zapytać o ofertę. Szuka pani kogoś do pracy.

Robbie, jakim zapamiętała go sprzed ćwierć wieku. Teraz miałby czterdzieści sześć lat.

- Jestem Eliot - powiedział chłopak, wyciągając dłoń. - Eliot Flaubert.

Milczała przez długą chwilę. Syn Robbiego, jego kopia, krew z jego krwi. Dał mu na imię Eliot. Eliot! Ileż to razy zastanawiali się, jakie imiona nadadzą swoim dzieciom. „Jeśli będzie dziewczynka, damy jej na imię Robbie, Jr., żeby była twarda, jeśli chłopiec, nazwiemy go Eliot, na cześć twojego ulubionego poety. Z takim imieniem będzie musiał nauczyć się być twardy”.

Maggie wpatrywała się w młodego człowieka. Oszołomiona, ciągle nie była w stanie dobyć z siebie słowa.

- Eliot? - przemówiła w końcu.

Skinął głową, a ona przypomniała sobie, jak w czasie eskapad ciężarówką Robbiego recytowała swój ukochany wiersz T. S. Eliota.

*Idźmy więc, ty i ja,*

*Kiedy wieczór rozpostarty na niebie trwa 1.*

Ścigali wtedy słońce, pędzili smagani wiatrem, przy dźwiękach piosenek nadawanych przez bostońską stację WPTR. A potem siadali na brzegu jeziora i wsłuchiwali się w melodię fal.

*W białych spodniach flanelowych po plaży się przejść, Nasłuchując jak syreny śpiewem zwołują się gdzieś.*

„Nie chcę słuchać Eliota” - mruzczał Robbie, wsuwając dłoń pod jej bluzkę, muskając delikatnie

wargami jej szyję. Krew zaczynała żywiej pulsować w żyłach. Pospiesznie zrzucali z siebie ubranie i zapominali o Eliocie. Pamiętała, jak w nią wchodził, jak z całych sił powstrzymywała się, by nie wbić paznokci w jego plecy. Potem siadali przy ognisku, a ona czuła jeszcze płomień przenikający całe ciało: coś, czego nie zaznała nigdy potem z Joem. *Idźmy pnę\ jakieś wyludnione uliczki, Bezsennych nocy w pokojach na godziny.*

Dal synowi na imię Eliot.

- Eliot? - powtórzyła, a on ponownie skinął głową.

- Przestraszyłem panią. Przepraszam. Nie spodziewała się pani gości. - Uśmiechnął się jak Robbie, uśmiechem, w którym była lekka kpina, jakby dawał do zrozumienia, że nie mówi całkiem poważnie. - Mam nadzieję, że oferta jest nadal aktualna. Szuka pani kogoś, kto nadzorowałby roboty, prawda?

Maggie skinęła głową.

- Owszem, szukam, ale skąd pan wie? Ogłoszenie jeszcze się nie ukazało.

Eliot wrzucił skorupy do kosza, otrzepał ręce. Był chyba wyższy od ojca. Musiał mieć jakieś metr dziewięćdziesiąt. Robbie mierzył dokładnie metr osiemdziesiąt dwa.

- Spotkałem dzisiaj rano w kawiarni przyjaciółkę ojca. To ona mi powiedziała.

- Claire?

Eliot przytaknął. Teraz dopiero zrozumiała, co

znaczyła wiadomość nagrana na sekretarce. „Zadzwoń do mnie natychmiast. Nie uwierzysz, z kim rozmawiałam”.

- Pani podobno też się z nim przyjaźniła - mówił dalej. - Trzymaliście się w trójkę. Maggie powoli dochodziła do siebie. Zabije Claire, pomyślała i uścisnęła w końcu dłoń Eliota. Silną, dużą dłoń o skórze delikatnej niczym ircha.

- Bardzo się przyjaźniliśmy i obu nam bardzo brakuje pańskiego ojca. Chciałam go zobaczyć, nie wiedziałam... - przerwała w pół zdania, świadoma, że wkracza na niepewny grunt. Eliot przestępował z nogi na nogę, wpatrując się w ziemię. Zmieniła temat: - Gdybym wiedziała, że szuka pan pracy... Niepotrzebnie wyrzucałam pieniądze na ogłoszenie.

- Ile Ed liczy? Ciągle dwa dolce? - zapytał z uśmiechem.

Maggie zaczęła się śmiać.

- Najlepszy dowód, jak bardzo potrzebuję kogoś, kto wszystkiego przypilnuje. Ed musiał uznać mnie za naiwną miastową paniusią. Zapłaciłam mu pięć dolarów.

Eliot znowu się uśmiechnął tym swoim lekko kpiącym uśmiechem.

- Odbije sobie pani w przyszłym roku. Ed zawsze sady za dużo ogórków i pomidorów. Wszyscy o tym wiedzą i czekają do ostatniej chwili, a potem zatrzymują się koło jego domu, niby to na pogawędkę, i odjeżdżają z warzywami za pół ceny.

Maggie zrobiło się ciepło na sercu. Miała wrażenie, że widzi w tym chłopcu żywego Robbiego. Nagle

zdała sobie sprawę, że Eliot przygląda się jej uważnie i pomyślała, że musi wydawać mu się wariatką. Stała przed nim w starych dżinsach, boso. Czy zdążyła się uczesać? Odruchowo dotknęła włosów. Schodząc na dół, ściągnęła je w kucyk. Bawełniana koszulka poplamiona farbą, twarz bez makijażu i na dodatek bosa stopy!

Eliot najwyraźniej zaakceptował jej wygląd.

- Claire powiada, że zamierza pani zamienić się w prawdziwą wieśniaczkę - powiedział z rozbawieniem, jakby odgadywał jej myśli. - W Litde Bear Lake to komplement dla mieszczucha.

- W Bostonie też nosiłam się niczym na obozie harcerskim. Masz tę pracę, Eliot. Napijesz się kawy?

Pokręcił głową, z tym swoim kpiącym uśmiechem.

- Zwariowałaś? Robota czeka. Claire mówiła mi, że chcesz otwierać w sobotę dożynkową.

- Odwrócił się i poszedł do swojej furgonetki, tym samym pewnym co Robbie krokiem.

Wychylił się jeszcze przez okno.

- Mogę otworzyć rachunek na twoje nazwisko w hurtowni Bagleya i w tartaku? Zaręczę za ciebie, to wystarczy.

Maggie skinęła głową, po czym bez ruchu obserwowała, jak zielona furgonetka odjeżdża z parkingu w chmurze pyłu.

*Mury*

*30 listopada 1967*

*Little Bear Lake*

*Oto „Lista najpopularniejszych przebojów z szafy grającej Gila Clarke'a”. Nie muszę Ci chyba mówić, ile połknęła moich własnych ćwierćdolarówek. Teraz i Maudy słucha ich chętnie, bo przypominają jej stare, dobre czasy. Nie zaakceptowała tylko Doorsów, wręcz ich nienawidzi. Powiada, że są „sprośni”, a ja na to, że Z czasem nabiorą szlachetnej patyny i że wtedy ich polubi. Wszystkie płyty, Z wyjątkiem Doorsów, sprowadziłem z Coreville. Postaram się nie zniszczyć ich do wakacji, żebyś i Ty mogła posłuchać.*

- 1. „Blue Moon” (chłopak marzy o dziewczynie)*
- 2. „Some Enchanted Evening” (chłopak poznaje dziewczynę)*
- 3. „Stranger in Paradise” (chłopak zakochuje się w dziewczynie)*
- 4. „ You Send Me” (sprawa jest poważna)*
- 5. „Light My Fire” (naprawdę poważna)*

Zamawiasz te płyty do szafy grającej? - zapytała Claire, spoglądając na listę zakupów, którą dała jej Maggie.

- Tak. Masz jakieś wątpliwości? - odparła Maggie i dalej politurowała półki za barem. Z dziedzińca dochodził głos Eliota - wydawał dyspozycje dekarzom reperującym dach.

*Księżyc* zaczynał błyszczeć, odmłodził. Z krótką wizytą przyjechali Maudy i Gil.

- Jak za dawnych czasów. Wróciły moje dziewczynki - wzruszyła się Maudy.

- Ładne mi dziewczynki. Niedługo stuknie nam pięćdziesiątka - roześmiała się Claire.

Maudy nie dała się zbić z tropu.

- Nie szkodzi. Dla mnie jesteście młode. Dzięki wam to miejsce odżyło. Wszystko wygląda jak dawniej.

Starzy właściciele odjechali rozpromienieni.

- Po prostu ta lista płyt wydaje mi się dość dziwna - mówiła dalej Claire. *Blue Moon, You Send Me, Stranger in Paradise?* Kto tego teraz słucha?

Maggie oderwała się na chwilę od pracy, jakby rozważała pytanie Claire.

- Pamiętasz, jak Gil zbierał od gości zamówienia na ulubione płyty, żeby każdy mógł słuchać tego, na co ma ochotę? - Claire skinęła głową. - Chcę zachować ten zwyczaj.

Będzie też miejsce na najnowsze przeboje.

Claire schowała listę do kieszeni. Maggie miała nadzieję, że wyczerpały temat, ale nie. Claire odchrząknęła.

- Maggie, kochanie, uważasz, że rozsądnie postępujesz? Przecież wiem, że to ulubione piosenki Robbiego. Puszczal je tak często, że znam wszystkie



na pamięć. Mogę ci też powiedzieć, czego słuchał, kiedy z nim zerwałaś. Po co ci to? Jak się będziesz czuła, wracając do tych melodii, tutaj, w *Księżycu*? Maggie zamknęła puszkę z politurą.

- A gdzie indziej miałabym ich słuchać? Poza tym to lista z sześćdziesiątego siódmego roku. Mogłoby być gorzej. Mam też jego listy piosenek z sześćdziesiątego ósmego i dziewiątego roku.

- Dlaczego to robisz? Dlaczego chcesz się katować? Czy nie dość ci wspomnień, z którymi musisz sobie poradzić? Na dodatek Eliot, który wygląda jak duch własnego ojca. Nie wystarczy?

- Powinnaś już chyba jechać. Jeśli pamiętam, jesteś umówiona u fryzjera. Przy okazji powiedz w sklepie płytowym, że ureguluję rachunek, gdy tylko zrealizują zamówienie. Claire pokręciła głową i bez słowa ruszyła do drzwi.

- Jeśli nie zdobędą nigdzie *Some Enchanted Evening* Ezia Pinzy, powiedz im, że zgadzam się na wersję Jay Americans - zawołała za nią Maggie.

Słyszała jeszcze, jak Claire mówi coś do Eliota, potem dobiegł już tylko odgłos zapuszczanego silnika. Może przyjaciółka miała rację? Może nie powinna tak uparcie wracać do wspomnień, czytać noc w noc listów Robbiego? A jednak nie potrafiła inaczej, tak jakby tylko w ten sposób mogła się wreszcie uwolnić od widm przeszłości. Godziła się nawet z tym, że powróci z wyprawy w przeszłość jeszcze bardziej obolała.

- Chciałbym ci coś pokazać - usłyszała głos Eliota od drzwi.

Odwróciła się powoli. Minęło już pięć dni od

pojawienia się Eliota w *Księżycu*, a jej ciągle trudno było patrzeć na niego. Za każdym razem czuła bolesny ucisk w gardle, za każdym razem musiała powtarzać sobie: „To Eliot, nie Robbie, to Eliot”.

- Co takiego? - zapytała, wycierając ręce w ścierkę. Eliot miał na sobie wytarte dżinsy i czarny podkoszulek. Jak Robbie. Jak on pracował powoli, z uporem, dokładnie. Niekiedy miała wrażenie, że uczestniczy w jakimś eksperymencie, który pozwala jej bliżej przyjrzeć się młodemu Robertowi Flaubertowi, analizować jego zachowania. Zawsze wiedziała, że Robbie jest kimś wyjątkowym, ale dopiero teraz, obserwując jego niezwykłego syna, zaczynała rozumieć, że był kimś więcej - mityczną postacią z kanadyjskiej puszczy.

Przyglądała się Eliotowi z daleka, na ogół wysługując się Claire przy ustalaniu z nim planu zajęć. Mimo że bardzo pragnęła poznać go lepiej, zachowywała dystans. Zbyt przypominał swojego ojca. Coś jeszcze niepokoiło ją i drażniło. Eliot traktował ją z taką poufałością, jakby znali się od lat. Wypowiadał zdania, które wprawiały ją w popłoch. Pewnego razu, gdy Maudy żartem domagała się, żeby Gil zabrał ją przed śmiercią raz jeden do opery w Toronto, Maggie wzięła jej stronę.

- Gil, powinieneś zaprosić Maudy do opery - wtrąciła się do rozmowy.

- Przecież ty sama nie znosisz opery - zdziwił się Eliot.

Gdy spytała go, skąd o tym wie, wzruszył ramionami.

- Zgadłem.

Innym razem poprosiła Claire, żeby zawiozła jej suknię do pralni w Coreyyville. Akurat wszedł Eliot.

- Twój ulubiony kolor, niebieski - powiedział, wskazując na suknię.

I znowu Maggie zainteresowała się, skąd o tym wie.

- To jasne - odparł po prostu.

Kiedy Claire rzuciła mimochodem, że Szekspir jest przeceniany, Eliot podniósł palec do ust.

- Uważaj. Dla Maggie to świętość. Zastanowiło ją to. Jej ukochanym poetą był co prawda Keats, później T. S. Eliot, ale zawsze uważała, że Szekspir jest niedościgły i żaden inny pisarz nie może się z nim równać. Często to powtarzała w czasie rozmów z przyjaciółmi i zajęć na uniwersytecie, ale nie mówiła nic takiego przy Eliocie.

- Wykładasz przecież literaturę. Wy wszyscy uwielbiacie Szekspira - odparł, gdy go o to zapytała.

Może rzeczywiście miał rację.

- Co chcesz mi pokazać? - zagadnęła ponownie.

- Niespodzianka. Chodź, pokażę ci. - Poszli w dół podjazdem w pięknym wrześnieowym słońcu. Z pobliskiego poletka przytulonego do lasu dochodziło krakanie wrony. Nad jeziorem krążyły mewy. Pod drzewami krzątały się wiewiórki: gromadziły orzechy na zimę. Jesienne liście jarzyły się złotem i czerwienią. Przyroda pokazywała się w całym przepychu - żyła, oddychała, gotowała się do zimowego snu. Robert Flaubert należał do tego pejzażu, był wszędzie: w wodzie, drzewach, chmurach.

- Popatrz - powiedział, gdy zatrzymali się przy bramie.

- Och, Eliot, wspaniale.

- Pomyślałem, że można naprawić ten mur. Łazi-

łem po nim jako dziecko, wtedy wydawało mi się, że ma trzy metry wysokości. Maggie patrzyła zachwycona na niewysoki murek odgradzający teren *Księżycyca*. Eliot uzupełnił ubytki i mur wyglądał teraz jak w 1967 roku, kiedy przyjechała tu po raz pierwszy. Trzymając w dłoni mapkę wyrysowaną przez ciotkę Rachełę, siedziała w swoim niebieskim garbusie i spoglądała na *Jesienny księżyc*, dziwną budowlę przytuloną do brzegu najbardziej błękitnego jeziora, jakie kiedykolwiek widziała. I mur. Ten sam.

- Dziękuję, Eliot. Wygląda jak nowy - powiedziała, podnosząc wzrok i powstrzymując napływające do oczu łzy.

- W jednej z dziur było gniazdo, opuszczone, więc chyba nic złego się nie stało, że je wyrzuciłem.

Uśmiechnęła się. Robbie zwykle zatrzymywał swoją furgonetkę, kiedy widział przechodzące przez drogę żaby czy pełzające po asfalcie węże. „Przecież to żywe stworzenia. Nie mam prawa ich zabijać” - mówił.

- Wiem, o co ci chodzi. Claire, nic mi nie mówiąc, zniszczyła gniazdo jaskółek pod okapem. Pewnie trzeba było tak postąpić, ale nie dała mi nawet czasu do namysłu. Tyle praw sobie uzurpujemy.

Eliot słuchał uważnie jej słów.

- Wiesz, że jeszcze w osiemnastym wieku ludzie uważali, że jaskółki zimują na dnie jezior? Nikt nie uwierzyłby, że lecą ponad dziesięć tysięcy kilometrów do Chile, Brazylii, Argentyny. Kiedy widzę, jak wracają wiosną, z zazdrością myślę o tych wszystkich miejscach, skąd wracają, i których nigdy nie zobaczę.

Maggie nie była w stanie słuchać. Miała wrażenie, że to Robbie opowiada jej o cudach przyrody, uczy ją patrzeć na świat. „Musimy poznać Ziemię, zrozumieć, jak uczynić ją znośniejszą do życia, zachować dla następnych pokoleń” - powtarzał często.

- Raz jeszcze dziękuję, Eliot. Miałeś wspaniały pomysł - i z tymi słowami odeszła.

Wiedziała, że miał ochotę porozmawiać, czuła to od momentu poznania. Może wiedział, co łączyło ją z ojcem. Claire na pewno nic mu nie powiedziała, ale Robbie? Może dlatego Eliot zdawał się wiedzieć o niej tak wiele. Może chciał odnaleźć w niej ojca, jak ona odnajdywała go w synu. Szła powoli w stronę *Księżycy*.

- Kiedy Maudy zobaczy mur, gotowa wysunąć moją kandydaturę na burmistrza! - krzyknął za nią Eliot.

Zatrzymała się i odwróciła. W jesiennym słońcu jego ciemne włosy lśniły niczym skrzydło kruka. Siedział na murku, nogi wyciągnął przed siebie i skrzyżował w kostkach; na jego twarzy igrał ten półkpiący uśmiezek. Rozpoznałaby w nim syna Roberta Flauberta, gdziekolwiek by go ujrzała: na międzynarodowym lotnisku, w półmroku restauracji, na zatłoczonym peronie metra. Tłumaczyła sobie, że to sprawa genów, drobin, których nie widzimy, ale które nosimy w sobie. W żyłach Eliota płynęła krew Robbiego, miał jego usta, włosy, jego oczy. To tylko genetyka, nic więcej.

- Jeśli Maudy chce, żebyś kandydował na burmistrza, spróbuj. Z jej poparciem na pewno wygrasz - powiedziała z uśmiechem.

- Hej, wyglądasz jak ta aktorka, jak ona się nazywa? Zdobyła Oscara.

- Nie mówisz chyba o Joan Crawford - zastrzegła się.
- Twoje włosy nie lśniłyby tak w słońcu Missouri jak tutaj.

Maggie odwróciła się i ruszyła w stronę *Księżycy*. Czuła na plecach spojrzenie Eliota. Obserwował ją tak, jak ona ukradkiem obserwowała jego przez ostatni tydzień.

Wieczorem, kiedy pracownicy się rozeszli i wreszcie została sama, postanowiła odnaleźć starą ścieżkę przez las. Robbie wyciął ją dla niej, żeby miała krótszą drogę z *Księżycy* do ich kryjówki. Kryjówka przestała być kryjówką, gdy stanął koło niej pomost wychodzący w jezioro. Wiedziała od Claire, że Robbie postawił dom dokładnie naprzeciw, po drugiej stronie jeziora, i zastanawiała się, czy wybrał to miejsce ze względu na wspomnienia. Lubił bardzo swoją zatoczkę, pomost, zagajnik brzozowy. Maggie zdecydowała się wreszcie zobaczyć, co zostało z przeszłości.

Wiedząc, że koło wzgórza będzie musiała przedzierać się przez zarośla, włożyła stare dzinsy i flanelową koszulę z długimi rękawami.

Zrazu wydawało się jej, że nie znajdzie przejścia wśród krzewów dzikiej wiśni. Musiała je obejść, pokonać pień zwalonego drzewa, wreszcie znalazła się u stóp wzniesienia, skąd już bez przeszkód mogła dotrzeć do kryjówki. Dochodząc do tego miejsca, zwykle słyszała już muzykę z radia Robbiego. Dzisiaj wokół panowała cisza, tylko gdzieś w oddali krzyczała wrona, wydzierały się wiecznie głodne mewy, w rudych liściach brzoź szeleścił wiatr. Żadnej muzyki,

jedynie dźwięczące w uszach wspomnienia. W końcu zobaczyła poszycie z mchu, mały splachetek ziemi, dwa i pół na dwa i pół metra, skryty między drzewami, które latem dawały cudowną osłonę, cień i chłód. Stała bez ruchu. Czas ani przyroda nie odmieniły tego miejsca. Trwało nietknięte, takie, jakim lubił je Robbie. Jak to możliwe, że znowu jest tutaj, po dwudziestu pięciu latach? Odpowiedź znalazła, gdy zobaczyła nie naruszony zębem czasu pomost. Ktoś najwyraźniej dokonywał koniecznych napraw. Koło pała w wodzie zobaczyła koszyk z sześcioma puszkami piwa. Naturalna lodówka, zważywszy, że woda w jeziorze przez cały rok była niemal lodowata. Kryjówka nadal żyła, ktoś o nią dbał, jakby to było mieszkanie, park albo ogród. Czuło się tu czyjąś troskliwą rękę. Maggie domyślała się, że to zasługa Eliota Flauberta.

Spała niespokojnie, jak pierwszej nocy, zaraz po przyjeździe do Little Bear Lake, kiedy dowiedziała się, że Robbiego nie ma już wśród żywych. W snach powracała do niej twarz człowieka, którego nigdy nie przestała kochać. Kiedy znowu ujrzała go w kanoe skapanego w srebrzystej poświacie, dostrzegła jakąś różnicę. Dłuższe włosy, szczuplejsza twarz, trochę bardziej psotny uśmiech. Robbie i nie Robbie. Rozpoznała go nawet przez gęstą mgłę snu: „To Eliot” -mruknęła i wyciągnęła dłoń, by go dotknąć.

*Zaczarowany wieczór*

*13 marca 1969*

*Uttle Bear Lake*

*Droga Maggie!*

*Czuję się bardzo samotny. To jeden z tych nastrojów, które nachodzą człowieka niespodzianie i które trudno wytłumaczyć. Myślałem o ojcu, o naszych wspólnych wyprawach kanoje, kiedy byłem jeszcze dzieckiem. Pewnego dnia, miałem wtedy dziesięć lat, po prostu odszedł od nas. (Prawdę mówiąc wsiadł do swojego zielonego chevroleta i odjechał niczym jakiś gwiazdor filmowy). Nigdy więcej już go nie widziałem. W 1960 roku dowiedzieliśmy się, że zginął w wypadku samochodowym. Próbowałem dzisiaj trochę pisać. Powiadają, że to przynosi ulgę duszy, ale jakoś nie przyniosło. Wsiadłem więc do kanoje i wypłynąłem na środek jeziora. Kiedy wpadam w ponury nastrój, muszę widzieć, co dzieje się dookoła, żeby nic nie zaskoczyło mnie od tyłu, nie przygotowanego. Po powrocie na brzeg patrzyłem na światła wyznaczające bezpieczny krąg Życia moich znajomych i przyjaciół. Niektórzy z nas żyją poza tym kręgiem, Bóg raczy wiedzieć dlaczego. Nie chcę się*



*rozpisywać, ale czasami mam uczucie, że tylko z Tobą mogę czuć się bezpieczny.*

Do zabawy dożynkowej pozostał niecały tydzień. Remont dobiegał końca. Maggie poprosiła Maudy i Gila, by przejrzeni zestawioną przez nią listę zamówień. Potrzebowała wsparcia kogoś doświadczonego, kto - tak jak oni - całe lata spędził w branży. Pod *Księżyc* zajeżdżały ciężarówki z alkoholami. Do drinków miały być proste zakąski. Claire nosiła do magazynu produkty zamówione w piekarni Lakeview i w sklepie spożywczym Loblawa w Coreyville. We wszystkich gazetach w okolicy ukazały się ogłoszenia o zabawie. *Księżyc* był jedynym lokalem tanecznym w promieniu wielu kilometrów i zewsząd napływały zgłoszenia zwiastujące pokaźny zysk, zważywszy, że Gil zgodził się poczekać na pieniądze, a Maggie mogła całkowicie polegać na jego słowie i radzie. Maggie, ale nie Joe McIntyre. Kiedy skończyła malować poręcz na ganku, usłyszała jego głos nagrany na automatycznej sekretarce. Prosił, by oddzwoniła, twierdząc, że ma jej coś ważnego do powiedzenia. Zastanawiała się przez chwilę. Coś ważnego? Bridgette wyskoczyły pryszcze na twarzy? Nie mieści się w nowym staniku i Joe chce skonsultować wielkość miseczek? Prawda, powiedział, że chodzi o ich dom w Kansas City. Znalazł się kupiec, który godził się na proponowaną cenę. Oddzwoniła więc, oczekując, że będą rozmawiać o domu, ale Joe uznał za konieczne udzielić jej kilku rad na temat *Księżycy*. Mówił, że nie dowierza zdolnościom byłej żony do prowadzenia interesów, zadawał fachowe

pytania na temat danych demograficznych, wyceny budynku itd. Maggie wreszcie mu przerwała:

- Dzwonię, bo nagrałeś wiadomość, że znalazł się kupiec na dom przy Beauchemin Street. Nie będę z tobą dyskutować o moich sprawach. Skoro masz kupca, wyślij mi papiery do podpisu. Coś jeszcze?

Nie, nie miał nic więcej do powiedzenia. Dobrze. Niech sam się martwi o dane demograficzne. Miała ochotę powiedzieć mu kilka cierpkich słów, ale ugryzła się w język. Życie z Joem rozplynęło się w niebycie, zostało gdzieś daleko za nią. Maggie wróciła do pracy i zajęła się redagowaniem reklam radiowych, które zamierzała zamówić w lokalnej stacji w Coreyville.

W środę, na cztery dni przed wielkim otwarciem, *Księżyc* stał się oficjalnie własnością Maggie. Po kilku wizytach Gila w banku i wielu telefonach zawarto umowę ostateczną, co oznaczało, że Maggie może teraz nadać *Księżycowi* nowy klimat. Zreperowany dach był w idealnym stanie, parkiet należało jeszcze pociągnąć lakierem, poza tym lokal nie wymagał już żadnych zabiegów. Maggie wynajęła kapelę z Coreyville, Fred z serwisu w Lakeview zajął się szafą grającą. Przywrócił co prawda maszynie dawną świetność, ale radził kupić nową, na kompakty. Jego pomysł nie przypadł do gustu ani Maggie, ani Claire.

Postanowiły zachować starą szafę przynajmniej jeszcze przez jeden sezon. Jeśli dzieciaki z okolicy będą się upierać, wtedy ustąpią. Zamówione płyty jeszcze nie dotarły, ale Eliot wybierał się do Coreyville po nową pompę do

wody i obiecał, że zajrzy do „Radio Shack” i zapyta, co z dostawą. Na razie szafa była wypełniona starymi płytami Maudy i Gila.

- No, Kopciuszku - zagadnęła Claire. Maggie klęczała akurat za barem i wypakowywała paczki ze słomkami. - Musimy uczcić to, że Margaret Patterson, była kelnerka, została właścicielką najlepszej tancbudy w... gdzieś w świecie, wszystko jedno, ważne, żeby to uczcić.

Zmęczona długim dniem pracy, Maggie ochocho podjęła propozycję. Zjadły kolację złożoną z kanapek, rozpakowały nowe szkła, ustawiły na półkach i mogły wreszcie odpocząć przy piwie. Claire nastawiła szafę.

- Wolę tę szafę ze starymi płytami niż kompaktki - stwierdziła Maggie.

- Ja też, ale Fred ma rację. Jak chcesz ściągnąć tu młodych, musisz zamówić trochę najnowszych przebojów. Prosiłam Eliota, żeby wybrał kilkanaście. Nie masz chyba nic przeciwko temu?

Maggie pokręciła głową. Była wdzięczna Claire, że o tym pomyślała. Sama nie miała na to czasu, zajęta finalizowaniem umowy.

- Jutro ochrzcimy kominek. Wieczorami robi się zimno - zapowiedziała Maggie, chociaż Maudy przestrzegała ją, żeby nie rozpaliała wielkiego ognia w czasie zabawy, bo będzie musiała otwierać wszystkie okna i drzwi.

- Odwaliliśmy w ostatnich dniach kawał roboty. - Claire westchnęła.

- A ciągle jest mnóstwo do zrobienia. Komentarz Maggie sprawił, że Claire swoim zwyczajem uniosła pytająco brwi.

- Zdążymy. Dzisiaj odpoczywamy - ucięła i uruchomiła szafę. Popłynęła melodia, której Maggie nigdy dotąd nie słyszała. - Eliot pytał mnie dzisiaj, dlaczego go unikasz. Maggie, zaskoczona nieoczekiwaną uwagą, w pierwszej chwili miała zamiar zaprzeczyć, ale zrezygnowała, wiedząc, że nie oszuka Claire.

- Trudno mi.

- Wygląda jak Robbie. Mówi jak on - zgodziła się Claire.

- A na dodatek zachowuje się tak, jakby mnie znał. Czy pamięć, do diabła, też przekazywana jest w genach? Odziedziczył po ojcu wspomnienia?

- Niedaleko pada jabłko od jabłoni - oznajmiła Claire tonem uczennicy udzielającej odpowiedzi na egzaminie.

- Dzięki, panie Newton, za to naukowe wyjaśnienie - fuknęła Maggie, ciągle mając w pamięci rzucane mimochodem uwagi Eliota, jego wszystkowiedzące spojrzenia.

- Ejże, popatrz - zawołała Claire, obojętna na paranormalne zdolności Eliota. - Maudy zachowała *Theme To A Summer Place* Percy'ego Faitha. Ciekawam, czy ta płyta ma jeszcze rowki.

Maggie zmarkotniała.

- Nie puszczaj tego. Jestem dzisiaj zbyt zmęczona na wspomnienia ze starych list przebojów.

Claire zostawiła wreszcie szafę w spokoju, podeszła do baru i pociągnęła solidny łyk piwa.

- Nie sposób uciec od lat sześćdziesiątych. Możesz mi powiedzieć, dlaczego? Ciągłe się słyszy, że ludzie

starają się zapomnieć o latach pięćdziesiątych. Czterdziestych. Nawet siedemdziesiątych. A tych cholernych sześćdziesiątych nie można się pozbyć.

- Może tylko nasze pokolenie tak uważa - zamyśliła się Maggie, podziwiając świeżo politurowane półki zastawione błyszczącym, nowiutkim szkłem.

- Może - zgodziła się Claire. - Ale tylko my wierzyliśmy słowom piosenek, według nich żyliśmy i kochaliśmy. Pamiętasz te wszystkie ballady polityczne i antywojenne? Na czymś nam zależało, nie tak jak dzisiejszym małolatom.

- Coś ty, do diabła, puściła? - zapytała Maggie.

- Modey Crue. Nie pozwoli nam zasnąć przy barze.

Maggie słyszała tę kapełę, dźwięki ich muzyki dochodziły zwykle z sypialni Diany.

Gwarantowały, że dwie panie pod pięćdziesiątkę nie usną w pół słowa.

- Czasami myślę, że całe moje życie dałoby się zamknąć w tytułach z list przebojów - zaczęła Claire. - Gdyby moje dziewczyny interesowały się genealogią, mogłabym odesłać je po informacje do *Billboardu*.

Maggie uśmiechnęła się. Dobrze było widzieć znowu Claire, przyglądać się, jak wydyma zabawnie wargi, kiedy się zamyśla. Dobrze było po latach odnaleźć w niej przyjaciółkę.

- Zaczynaj. Opowiedz mi piosenkami tę część twojego życia, której nie znam. Niewiele mówiłyśmy o sobie. Chyba odnowiliśmy na tyle naszą zażyłość?

Claire skinęła głową i podniosła puszkę do ust.

- Nie ma to jak zimne piwo. Znakomicie przy-

spieszą odnawianie zażyłości. Zobaczymy. W siedemdziesiątym drugim roku czułam się całkiem nieźle, słuchając *Claire Gilberta O'Sullivan*a. Szalałam na parkiecie.

- *Claire, kiedy cię spotkałem, naprawdę zwariowałem* -zaśpiewały i zachichotały jak nastolatki.

- Jak mogłam się nie zakochać po takim podbijaniu bębena? Właśnie poznałam Charlesa. Byłam gotowa. Potem mój los przypieczętowała Roberta Flack swoim *First Time Ever I Saw Your Face*. Miałam szczęście, zważywszy, że drugim wielkim hitem roku było *My Ding-A-Ling*, czyli, mniej więcej, moja rybcia chrzaniona.

Maggie zaniósła się śmiechem. Od dawna, od bardzo dawna nie śmiała się tak serdecznie.

- Zapomniałam o tej okropnej piosence.

- A wiesz, że nawet tego słucham ze wzruszeniem, podśpiewuję i jestem zachwycona.

Dopiero po chwili uświadamiam sobie, jaki to kretynizm. Ale przypomina mi, że byłam wtedy zakochana po uszy w Charlesie i wspomnienia wracają.

- To prawda - przytaknęła Maggie. - Wszyscy to mamy. Niedawno przez cały dzień nuciłam *Rubber Duckie*.

- Pech, że Tammy Wynette nie śpiewała *Divorce* w siedemdziesiątym drugim roku. Może ustrzegłabym się przed tym małżeństwem, a tak pobraliśmy się w siedemdziesiątym trzecim, a w siedemdziesiątym czwartym byłam już w ciąży z Holly. Pamiętasz, co było wtedy przebojem? Ha! *You're Having My Baby* Paula Anki.

- *Dziecko, słodki dowód twojej do mnie miłości* - zanuciła Maggie. Claire pokiwała głową.

- Nadal uwielbiam tę piosenkę, chociaż feministki jej nie znoszą. I mają rację.
  - Jesteś feministką? - zainteresowała się Maggie.
  - Chyba tak. W każdym razie rok później znowu byłam w ciąży, z Jessicą. The Captain and Tennille śpiewali wtedy *Love Will Keep Us Together*. Znowu prawdziwy hit. Słuchałam go i wiedziałam, że miłość wcale nie połączy nas na zawsze, jak w piosence.
  - Tak mi przykro - powiedziała Maggie i odgarnęła kosmyk włosów z czoła Claire. - To zawsze są trudne chwile.
  - W roku siedemdziesiątym szóstym podśpiewywałam *Disco Duck*. Nie musiałam myśleć. Od czasu do czasu zamawiałam opiekunkę do dziewczynek i szłam w miasto. Wypijałam kilka piw w jakimś barze, myślałam o wieczorach spędzonych w *Księżycu*, z tobą i Robbiem, o płytach, które wtedy puszczał, jak choćby *Some Enchanted Evening*. To były rzeczywiście zaczarowane wieczory.
- Maggie nagle posmutniała. Pamiętała te piosenki, klasyczne szlagiery, które zamówiła teraz mimo sprzeciwów Claire. Chłopcy pokpiwali z Robbiego, ale on nic sobie z tego nie robił. Kołysał się samotnie na parkiecie w takt *September In The Rain*, a ona i Claire siedziały przy barze i chichotały.
- Robbie powiadał, że dobra piosenka jest jak wizyta u psychiatry - wspominała Maggie.
  - Poprawia człowiekowi nastrój i znacznie mniej kosztuje.
- Przez chwilę milczały, wspominając Robbiego i jego umiłowanie muzyki.
- Całe moje życie to jeden wielki album płytowy

odezwała się wreszcie Claire. - Strona A to piosenki z czasów, zanim poznałam Charlesa, strona B - piosenki po spotkaniu z nim.

- Zaczynasz mówić tekstem z seriali telewizyjnych - przestrzegła ją Maggie.

- A co z tobą? Opowiedz mi o Joem i tej jego pannie.

Maggie zastanawiała się, jak delikatnie powiedzieć Claire, że nie ma ochoty rozmawiać o swoim mężu, gdy usłyszała podjeżdżający na parking samochód.

- Zobacz, ktoś wyratował mnie od zwierzeń.

- Co się odwlecze, to nie uciecze. Musisz mi opowiedzieć o tej dziewczynie. Wiedz, że jestem naprawdę dobra, jeśli idzie o „syndrom innej kobiety”. Najważniejsze to zachować godność. Nigdy, na przykład, nie pytaj, gdzie kupuje ciuchy.

Trzasnęły drzwiczki samochodu. Maggie odwróciła głowę w stronę wejścia.

- Pewnie Gil przyjechał na kolejną inspekcję - powiedziała.

Claire westchnęła.

- Tak nas pilnuje, że zaczynam rozumieć, co musiał czuć Gomer Pyle do sierżanta Cartera.

Maggie zaczęła się śmiać. Już miała krzyknąć: „Tu jesteście, Gil”, gdy w drzwiach stanął Eliot, w dżinsach, jasnożółtej koszulce, z butelką piwa w dłoni. Oparł się o futrynę.

- Czy panie byłyby zainteresowane przejażdżką wokół jeziora? Wschodzi księżyc. Ze względu na nasze plany zawodowe powinniśmy sprawdzić, czy w sobotę będzie pełnia.

- Ej, przystojniaku, chodź no tutaj i poczęstuj się piwem - zawołała Claire.

Maggie bez słów patrzyła na Eliota; zachowywał się tak, jakby cały świat należał do niego.

Ileż to razy Robbie stał w tym samym miejscu, w tej samej pozycji.



- Problem piwa już rozwiązałem. Dla trzech dorosłych osób sześć butelek powinno wystarczyć. Cały dzień pracowałyście i nie wychylałyście nosa na zewnątrz. Zabieram was, musicie posmakować natury, Claire dała kuksańca Maggie.

- A nie mówiłam? Żebyś nie wiem co robiła, nie uciekniesz od lat sześćdziesiątych. Rusz się.

Maggie przemogła zmęczenie jak niegdyś, gdy szła po pracy na spotkanie z Robbiem, albo kiedy „muszkietierowie” wybierali się gdzieś całą trójką, jeśli Claire nie była z nikim umówiona. Minęła Eliota i wsiadła do furgonetki, gotowa na wyprawę splątanymi ścieżkami przeszłości.

Rozmawiali chwilę o Robbiem. Claire pierwsza poruszyła ten ciągle bolesny dla Eliota temat. Okazało się, że ojciec opowiadał mu o muszkietierach.

- Musieliście stanowić niezłą paczkę - stwierdził.

- A jakże - przyświadczyła Claire. - Słyszałeś, jak ukradliśmy chevroleta Monty'ego Whitburne'a i ukryliśmy go w leszczynie koło boiska hokejowego?

- Claire, miałaś nikomu o tym nie mówić - obruszyła się Maggie.

- Nie, o tym nie słyszałem - powiedział Eliot.

- Widzisz, Robbie nawet jemu nie zdradził tajemnicy - ofuknęła przyjaciółkę Maggie.

Eliot zaśmiał się. Maggie zerknęła na niego: potargane włosy, piękny profil ojca, łokieć wysunięty za okno.

Okружиło jezioro i zatrzymali się ponownie na parkingu przed *Księżycem*.

- Jeszcze jedna rundka? - zapytał Eliot.

- Nie wiem. Już późno, jutro czeka nas znowu mnóstwo pracy - wahała się Maggie.

- Co ty wygadujesz, kobieto - prychnęła Claire. - Tak już zramolałaś? To nie sala wykładowa. Nasza jest noc.

- Księżyc już wzeszedł. - Eliot wskazał na niebo. Rzeczywiście, zza wzgórz po drugiej stronie jeziora

ukazała się złocista, niemal okrągła tarcza. Prawdziwa pełnia przypadała dopiero na sobotę.

- Wspaniały widok - przyznała Maggie.

- Mam pomysł. Zostawmy samochód i przejdźmy się. Obejrzymy z brzegu wschód księżycy - zaproponował Eliot.

Idąc w stronę jeziora Maggie odwróciła się i obrzuciła pełnym satysfakcji spojrzeniem bryłę *Księżycy* z rozświetlonymi oknami. Przywrócenie go do życia kosztowało ją mnóstwo wysiłku, wiele pracy jeszcze ją czeka, ale o ile to lepsze niż mówienie do dwudziestki piątki studentów, z których może jedno, może dwoje naprawdę słuchało, słuchało, a nie tylko robiło notatki umożliwiające rozwiązanie testu. Nigdy wcześniej nie odczuwała takiego zadowolenia. Wszystko ją cieszyło: towarzystwo Claire i Eliota, Maudy i Gila. Dawali jej ciepło, jakiego nie zaznała przez lata spędzone z Joem. Jakiego nie dał jej nawet ojciec. Po śmierci matki i Dougiego, po tym, jak dziewczynki

się usamodzielnili, czuła się osierocona. Ojciec? Był tego typu człowiekiem, któremu wysyła się kartki okolicznościowe i do którego należy zadzwonić w urodziny i Boże Narodzenie. Prawdę rzekłszy, gdy ożenił się z Vivian, osobą skądinąd wspaniałą, stał się jej mężem, a przestał być ojcem Maggie. Nie mogła mieć do niego pretensji. Żył swoim życiem. Podobnie jak ona teraz.

- Wędkowałem często z ojcem na jeziorze. - Eliot przerwał jej rozmyślenia. - Gdybyście miały lornetkę, mogłybyście zobaczyć nasz dom, mój dom, na przeciwnym brzegu. Rudobrzęzowy.

- Jak całe wzgórze - stwierdziła kąśliwie Claire osłaniając dłonią oczy.

- Nam też bardzo go brakuje - niespodziewanie dla samej siebie odezwała się Maggie.

Dotknęła dłoni Eliota, uścisnęła ją i mimo wieczornego chłodu poczuła, że się czerwieni.

- Był z niego niezły oryginał - dodała Claire.

Po wodzie niosły się melancholijne nawoływania nurów.

- Wkrótce odlecą - powiedział Eliot, podniósł kamyk i puścił go po wodzie.

- Będzie mi ich brakowało - westchnęła Maggie. - Chodźmy już. Zapraszam was na drinka przed snem. Wypijemy na tarasie. Jest chłodno, ale to nic. Rozgrzejemy się koniakiem.

Musimy wypić za *Księżyc*.

- Świetny pomysł - przyklasnęła Claire. - Wiedziałam, że w końcu odezwie się w tobie dawna Maggie. Pamiętaj, co ci mówiłam, dzieciно, człowiek nie ucieknie od lat sześćdziesiątych.

Maggie poszła do mieszkania po swetry dla Claire i dla siebie. Eliot chciał wziąć ciepłą bluzę z furgonetki. Claire zajęła się koniakami; cała trójka miała się spotkać za chwilę na werandzie.

- Gdzie Eliot? - zapytała Maggie, widząc, że Claire siedzi sama.

- Przypomniał sobie, że ma w samochodzie coś, co zamówił do baru. Zaraz wróci.

Opatulone wpatrywały się przez chwilę w wody jeziora. Niebo pociemniało jeszcze bardziej, księżyc nabrał intensywnie pomarańczowej barwy.

- Człowiek gotów pomyśleć, że znalazł się w jakimś wehikule czasu. Nie czuję nawet tych dziesięciu kilogramów nadwagi - zaśmiała się Claire.

- Mogłybyśmy sprzedać ten pomysł. „Dieta wędrowca w czasie” - podchwyciła Maggie.

- Za co pijemy? - Na werandzie pojawił się Eliot.

- No, za co? - zapytała Claire. Eliot zastanawiał się chwilę.

- Za starych przyjaciół. Za najlepszego wędkarza, człowieka lasu, przewodnika, filozofa, niekiedy pisarza i zawsze ojca, jaki kiedykolwiek chodził po tym świecie.

Maggie poczuła łzy napływające do oczu. Nie chciała, by Eliot to widział. Słyszała od Claire, jak ciężko przeżył śmierć Robbiego; rzucił szkołę, zerwał z przyjaciółmi. Wróciła, żeby powiedzieć Rob-biemu, jak bardzo żałuje swojego kroku, zadośćuczynić za zmarnowane lata. Za późno. Jedyne, co mogła zrobić, to pomóc jego synowi. Robbie na pewno chciałby tego.

- Za Roberta Flauberta, potomka wielkiego francuskiego pisarza Gustave'a Flauberta - powiedziała.

- Wtedy już tak twierdził? - zapytał Eliot ze śmiechem.

Obydwie kobiety przytaknęły.

- Za Robbiego i za ponowne, w pewnym sensie, spotkanie trójki muszkieterów. - Claire uniosła kieliszek, upiła łyk koniaku i podjęła po chwili: - Powiedz mi, Eliot, jeśli nie jest to zbyt osobiste pytanie, czy byłeś kiedyś zakochany?

Eliot zaśmiał się i pokręcił głową.

- Miłość jest jak zero absolutne, możliwa tylko w teorii.

- A jednak naukowcy osiągnęli już temperaturę równą jednej milionowej stopnia powyżej zera absolutnego - zaprotestowała Maggie. - To cholernie blisko.

- Jedna dziesiąta czy jedna milionowa - do absolutu ciągle daleko. Albo jest miłość, albo jej nie ma - powiedział Eliot z uśmiechem.

- Dajcie spokój tym technicznym subtelnosciom. Zadałam proste pytanie - przerwała im Claire, dopiła swój koniak i zanim Maggie zdążyła zaproponować jej następny kieliszek, zawołała: - Cholera, która to godzina?

- Dopiero po dziesiątej. - Maggie próbowała ją zatrzymać.

- Obiecałam matce, że podjadę po nią do salonu bingo. Zamykają o dziesiątej. - Claire zerwała się z fotela.

- Już jesteś spóźniona - zauważył Eliot.

- Zdążę. Starsze panie wystają jeszcze na ulicy i zawzięcie plotkują, zanim się rozstaną. Maggie poczuła się nieswojo. Chociaż zaczęła się już przyzwyczajać do obecności Eliota, nie chciała zostawać z nim sam na sam.

- Zostawcie dla mnie kubek kawy rano - rzuciła Claire na odchodnym i zniknęła za drzwiami werandy.

Eliot odprowadził ją wzrokiem, po czym zwrócił się do Maggie:

- Zawsze była taka żywiołowa? Maggie skinęła głową.

Siedzieli przez jakiś czas w milczeniu, obserwując księżyc, słuchając ostatnich ptasich śpiewów. Gdzieś w oddali zamajaczyła sylwetka czapli poszukującej miejsca na nocleg.

- To był dla mnie wyjątkowy wieczór - odezwał się wreszcie Eliot. - Nigdy, od chwili... jego śmierci, nie czułem się tak blisko ojca.

- Musi ci go bardzo brakować.

- I jako ojca, i jako przyjaciela.

Maggie potrafiła to zrozumieć, odczuwała brak Robbiego w podobny sposób. Rzadkie połączenie. Dopiero teraz zaczęła zdawać sobie sprawę, że Joe McIntyre nigdy nie był jej przyjacielem.

- Jak znosi to twoja matka? - zapytała. Uwolniła się już od cienia zazdrości żywionej do kobiety, którą Robbie uczynił swoją żoną. Teraz, gdy poznała Eliota, niemiłe uczucie zniknęło. Julia musiała być wspaniałą osobą.

- Nie mogła wytrzymać w Litde Bear Lake. Miesz-

ka teraz z dziadkami. Starzeją się i potrzebują opieki, a i ja powinienem żyć swoim życiem. Maggie zastanowiły te słowa. Diana i Lucy byłyby zapewne zdania, że dawno już powinien był się usamodzielnąć. Miał dwadzieścia pięć lat. Dziewczynki wyprowadziły się z domu, kiedy jedna miała dwadzieścia jeden, druga dwadzieścia dwa lata, ale dziewczęta prędzej dojrzewają do opuszczenia rodzinnego gniazda. Do czego ludzie tak się spieszą? Może bardziej naturalne byłoby ruszać własną drogą dopiero, gdy naprawdę nadchodzi czas po temu, by opuścić rodzinę? Nastoletni człowiek z Cro-Magnon nie odchodził przecież ni stąd, ni zowąd pewnego dnia od wspólnego ogniska.

- Zrobiło się smutno. Może jeszcze po jednym koniaku, szefowo? Strzemiennego. Jeśli uważasz, że za dużo wypilem, mogę popłynąć do domu. - Wskazał brodą w kierunku przeciwnego brzegu.

Maggie zaśmiała się. Mieszkańcy Litde Bear Lake rzeczywiście zwykli popijać, wybierając się na samochodowe przejażdżki po bocznych, przeważnie pustych drogach, a szeryf Barry Fleck ograniczał się do przestrzegania piwoszy, żeby uważali.

- Myślę, że możesz wypić jeszcze jeden kieliszek -powiedziała.

- Napijemy się przy barze?

Maggie chętnie przystała, na werandzie robiło się coraz chłodniej.

- Chciałem cię o coś zapytać - zaczął Eliot, gdy z napełnionymi kieliszkami usadowili się na wysokich stołkach.

Maggie omijała jego wzrok. Znowu poczuła się

nieswojo. Wiedziała, że to dziwne uczucie dyskomfortu bierze się z rozpaczliwego pragnienia, by wyciągnąć dłoń, dotknąć Eliota, przytulić go do siebie.

- Co chcesz wiedzieć? - zapytała.

- Dlaczego mnie unikasz? Od tygodnia muszę uganiać się za tobą, żeby zamienić dwa słowa.

Maggie wzruszyła ramionami.

- Jest mnóstwo pracy, a ja nie potrafię zajmować się kilkoma sprawami naraz.

Eliot położył dłoń na jej ręce. Maggie drgnęła, czując ciepły dotyk.

- Chodzi o to, że tak bardzo jestem do niego podobny?

Przez chwilę nie odpowiadała, nasłuchując, jak za oknami zrywa się jesienny wiatr.

- Tak, przypominasz mi twojego ojca. Bardzo - powiedziała w końcu.

- Wypijmy. To dla mnie zaszczyt przypominać Roberta Flauberta, ale wznieśmy toast za nas, za chwilę obecną. - Eliot uniósł kieliszek.

Ulotniło się gdzieś jego przygnębienie. Maggie miała teraz przed sobą rozradowanego chłopaka. Ileż to razy była świadkiem równie nagłych odmian nastroju u Robbiego. W jednej chwili zamyślony introwertyk, za moment wpadał w swawolny humor.

- Twój ojciec miał małą działkę nad brzegiem jeziora, tam gdzie ten mały pomost. Do kogo należy teraz? - zapytała zdumiona, że wspomniała o kryjówce. Księżyc, koniak; coś musiało sprawić, że pozbyła się oporów.

- Jest moja - odparł Eliot, obserwując ją bacznie.



Jakiej reakcji się po mnie spodziewa? - zastanawiała się. Czyżby wiedział o kryjówce, czekał na zwierzenia?

- Ach, tak. - To wszystko, co powiedziała.

- To było ulubione miejsce ojca. Wędkowaliśmy tam od mojego najwcześniejszego dzieciństwa. Czasami siadaliśmy na pomoście, moczyliśmy nogi w wodzie, a on deklamował mi wiersze. Nie bywał tam nikt poza nami. - Eliot nie spuszczał z niej wzroku.

- Zauważyłam, że pomost nadal stoi - bąknęła.

- Chciałabyś tam pójść? - zapytał po namyśle. Maggie bezwiednie kiwnęła głową. „Nie bywał tam nikt poza nami”.

- Chętnie wybiorę się w najbliższych dniach - obiecała. Czy wiedział? Nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie.

- Pewnie jesteś zmęczona, ale zanim się wyniosę, jeszcze niespodzianka. Przygotowałem ją, kiedy siedziałyście z Claire na werandzie. - Podeszedł do szafy grającej, wrzucił ćwierćdolarówkę i nacisnął klawisz. Zanim zabrzmiała muzyka, wrócił, ujął dłoń Maggie i poprowadził ją na parkiet.

- Późno już, Eliot - rzuciła oschle.

- Tylko jeden taniec. To moja niespodzianka na zakończenie tego wieczoru.

Zabrzmiała muzyka, piękna i łagodna. Muzyka sprzed lat. *Some Enchanted Evening* Ezia Pinzy. Pod Maggie ugięły się nogi. *W zaczarowany wieczór ujrzyszgo w tłumie, w drugim końcu sali*. Krążyli powoli po parkiecie i było jak niegdyś w owe letnie wieczory, gdy *Księżyc* pełen był ludzi, szafa grała na cały regulator, a Robbie, pachnący wiatrem i jeziorem, tulił ją mocno do

siebie. To właśnie poprzez tłum mrowiący się na parkiecie *Księżycy* dojrzeli się po raz pierwszy. Dlatego Robbie tak lubił tę piosenkę, piosenkę, która teraz z nieodpartą siłą przywoływała wspomnienia. / *nagle wiesz; Że j<sup>es</sup>Z<sup>c</sup>Z<sup>e</sup> spotkasygdzieś'i będziesz spotykał nie ra%*. Podniosła głowę i poczuła dotyk warg Eliota. Ciepły i delikatny. Na zewnątrz zerwał się wiatr, szarpał drzwiami od werandy. Powinna pamiętać, żeby zamknąć je, zanim pójdzie spać. *Noc w noc, dziwna rzecz- będzie w uszach brzmiał ci jej śmiech*. Eliot ujął w dłonie twarz Maggie i raz jeszcze ją pocałował, potem odchylił głowę, spojrzał na nią i odgarnął kosmyk włosów z jej czoła.

- Od chwili, kiedy cię zobaczyłem po raz pierwszy, kiedy to na mój widok wylałaś kawę, miałem ochotę wziąć cię w ramiona.

Maggie uwolniła się z jego objęć, uciekła za bar i odstawiła kieliszek do zlewozmywaka.

- Już noc. Rano przyjadą Maudy i Gil, muszę wcześniej wstać - powiedziała cicho. Niby to zajęta sprzątaniem zakręciła butelkę z koniakiem i odstawiła na miejsce. Nie zwracając uwagi na te wybiegi, Eliot podszedł do niej i położył jej dłonie na ramionach.

Znieruchomiała, sparaliżowana.

- To szaleństwo - bąknęła, ale coś jej mówiło, że nie jest to szaleństwo. Ona też go pragnęła. Miała ochotę wziąć go za rękę i zaprowadzić do mieszkania na piętrze.

- Maggie - szepnął.

- Coś jest nie tak - próbowała się bronić.

- Co miałyby być nie tak? Nie mów mi tylko o różnicy wieku, bo nie ma żadnej różnicy.

Wiem, co czuję.

- Nie wiesz nic o mnie. - Maggie czuła narastające przerażenie, jakby znalazła się w rozpedzonym pociągu, który wpadł na stare tory. A jednak w głębi duszy pragnęła zacząć raz jeszcze wszystko od początku. Był niemal dwa razy młodszy od niej. Jak Bridgette od Joego. Wirowało jej w głowie. - Nic o mnie nie wiesz - powtórzyła, a Eliot uśmiechnął się w sposób tak dobrze znany jej sprzed lat.

- Mylisz się. Wiem o tobie bardzo dużo. Wiem, że przez jakiś czas studiowałaś germanistykę, której nienawidziłaś. Wiem, że boisz się ciemności, kiedy czasami budzisz się w środku nocy. Lubisz teatr rosyjski. Nienawidzisz niedziel. Kiedyś marzyłaś, żeby wynająć małą łódź i podróżować po kanałach Anglii. Wiem na pewno, że nie znosisz opery. I wiem, że byłaś pierwszą miłością mojego ojca.

Oślupiała, oparła się o bar. Powtarzała sobie, że musi się uspokoić, zacząć myśleć. Wreszcie spojrzała na Eliota.

- Czytałeś listy. Przeczytałeś moje listy do Roba. Nie odpowiedział od razu. Za oknami zawodził

wiatr. Stary dom skrzypiał i trzeszczał pod jego uderzeniami, niczym w godzinie duchów.

Rzeczywiście zdejmował ją strach przed ciemnością, gdy nagle budziła się ze snu.

Nienawidziła niedziel. Od dziecka. Wszyscy zachowywali się wtedy sztywno i uroczyście, wkładali niewygodne ubrania. Ludzie zawsze sprawiają wrażenie, jakby oczekiwali po niedzieli czegoś szczególnego, co nigdy się nie zdarza. Czytał jej listy!

- Po śmierci ojca - odezwał się wreszcie Eliot - matka powiedziała mi o pudełku, które przechowywał

w piwnicy. Myślała, że są tam jakieś papiery z czasów, kiedy chodził do szkoły leśnictwa. Chciał, żebym ja je przejął. Tyle wiedziała matka. Miesiąc po pogrzebie znalazłem to pudełko. Twoje listy leżały na samym spodzie, pod świadectwami szkolnymi. Czy chciał, żebym dowiedział się o tobie? Nie wiem. Czterdzies-tosześcioletni człowiek nie myśli przecież o śmierci. Być może miał zamiar kiedyś je zniszczyć. Może. Nie potrafię odpowiedzieć sobie na to pytanie. Wiem tylko, że je znalazłem.

W tejże chwili Maggie przypomniała sobie, że Eliot proponował jej odwiedzenie kryjówki.

- Wiedziałeś o zagajniku brzozowym. Wiedziałeś od samego początku - szepnęła.

Eliot nie zdejmował dłoni z jej ramion. Przyciągnął ją bliżej do siebie.

- Kiedy pojawiłem się tutaj w zeszłym tygodniu, nie szukałem pracy. Chciałem zobaczyć Maggie Patterson. Chciałem zobaczyć kobietę, którą ojciec kochał, zanim poznał matkę. Przez pięć lat zastanawiałem się, jaka jesteś. Ciągle wracałem do twoich listów. Powiadasz, że nic o tobie nie wiem? Idę o zakład, że znam cię lepiej niż ktokolwiek inny spośród żyjących.

Pod Maggie ugięły się kolana. Usiłowała przypomnieć sobie treść listów, szczególnie tych ostatnich, pisanych po śmierci Dougiego, gdzie dawała upust najgłębszym, najbardziej mrocznym lękom dotyczącym życia i śmierci, z których nigdy nie zwierzyłaby się Joemu, nikomu z wyjątkiem Robbiego. Przed nim mogła odsłonić otchłań. Okazało się, że odsłoniła ją także przed Eliotem. Teraz i on wiedział.

Odepchnęła go od siebie; uderzył o półkę, zadzwoniły szklanki. Spojrzał na nią tak, jakby chciał zrozumieć, co dzieje się teraz w jej głowie.

- Remont prawie skończony, Eliot. Myślę, że powinniśmy trzymać się od siebie z daleka. Przynajmniej na razie.

Zdawał się nie słyszeć jej słów.

- Kiedy zobaczyłem cię po raz drugi, zrozumiałem, dlaczego Robert Flaubert nie pozwolił ci przejść obok siebie. To nie ma nic wspólnego z wiekiem. To wiersze, jaskółki zimujące na dnie jezior, jesienny księżyc. Wszystko, co sprawia, że serce mocniej bije w piersi.

Nie miała ochoty tego słuchać. Czuła, że rodzi się w niej jakiś opór, sprzeciw wobec całego wieczoru, wobec jego słów. Czytał moje listy - pomyślała. Zna moje najskrytsze myśli.

Wie wszystko.

- Przykro mi, ale powinieneś już iść.

Eliot cofnął się o kilka kroków i stał tak oparty o bar, mierząc ją roziskrzonym wzrokiem. I znowu miała ochotę wyciągnąć dłoń i dotknąć go. Przez kilka ostatnich nocy to o nim śniła, on był srebrzystą zjawą w kanoe, jego dłoń dotykała jej skóry. Eliot, nie Robbie.

Nie spuszczać z niej oczu, wyszedł zza baru. Kiedy przebrzmiały ostatnie takty *Some Enchanted Evening*, usłyszała odgłos zapalnego silnika i żwiru pryskającego spod kół. Po chwili w oknie mignęły tylne światła furgonetki.

## *Obrączka z mosiądzu*

*Weź mnie za reke i prowadź po raju, niebezpiecznym raju...*

Tony Bennet, *A Stranger in Paradise*

Maggie stała na werandzie z kubkiem kawy w dłoni i podziwiała jesienne barwy drzew. Robert nauczył ją patrzeć na przyrodę. Na przykład modrzew od dawna towarzyszył człowiekowi. Był piękną ozdobą w zimie, a Indianie wykorzystywali jego elastyczne korzenie jako wiązania kanoe. Kiedyś Robbie pokazał jej umierający modrzew amerykański, wyrwany przez gwałtowną letnią burzę. Teraz, po dwudziestu pięciu latach, Maggie znowu spoglądała na to niezwykle drzewo północy. Bywały momenty, gdy zdawało się jej, że nigdy go już nie ujrzy. Rósł co prawda w Nowej Anglii, ale że rzadko występował poza Kanadą, kojarzyła go zawsze z Litde Bear Lake i kanadyjskimi lasami. Spojrzała w stronę przeciwnego brzegu jeziora, gdzie mieszkał Eliot,

lecz z tej odległości nie mogła dojrzeć jego domu; nic, tylko błękit nieba i odbijającej go wody.

Eliot nie pojawił się w pracy, lecz nie była tym zaskoczona. Ostatniej nocy prawie nie spała, zastanawiając się, czy dobrze postąpiła. Pociągał ją, nie miała co do tego żadnych złudzeń. Czowała się tak, jakby raptem odzyskała Roba, po czym równie raptownie odwróciła się od niego. Powtarzała sobie bezustannie, że jest tylko dwa lata starszy od Lucy. Co ją opętało? Dlaczego nie może się uwolnić od jego obrazu? Co kazało jej tkwić od świtu na werandzie i na próżno nasłuchiwać odgłosu furgonetki zajeżdżającej na parking *Księżycy*? Co powiedzieliby jej koledzy z wydziału? Szczególnie pan Walton, znawca Milтона, którego największą miłością była wielka czerwono-błękitna ara wykrzykująca: „Raj utracony, Raj utracony”. Albo Sharon Lipmann, która zajmowała się poezją elżbietańską i grywała co piątek w brydża. Przede wszystkim co powiedziałyby Diana i Lucy. Co one by powiedziały? Maggie niemal je słyszała: „Mamo, za późno chyba na takie szaleństwa” - stwierdziłaby oburzonym głosem krytyczna jak zwykle Lucy. „Kieruj się tym, co czujesz” - to Diana, niepoprawna romantyczka. „Żyje się raz, raz zakłada na palec złotą obrączkę”. „Żyje się raz” - to przekonanie najbardziej doskwierało Maggie, przypominało jej, że Robert Flaubert odszedł na zawsze. Przeżył swoją chwilę na tym padole. Czy miała prawo wskrzeszać go teraz, odnajdywać w Eliocie?

O dziesiątej rano do mieszkanka Maggie wpadła spragniona kawy Claire. Widząc na dnie dzbanka gęstą zawiesinę, nachmurzyła się.

- Zrobię świeżej. To resztki wczorajszej - usprawiedliwiła się Maggie. Nie chciała się przyznać, że wstała o świcie i witała wschód słońca razem z czaplami i nurami.

- Miałam przyjść o ósmej, ale byłam tak wykończona, że zasnęłam - oznajmiła Claire, tłumiąc potężne ziewnięcie. - Dzięki Bogu, że są matki, które budzą dzieci.

Maggie uśmiechnęła się zdawkowo; włączyła ekspres.

- Gdzie Eliot? Widzę, że na dole pracują malarze. Miał ich chyba doglądać? - Claire usadowiła się za kuchennym stołem w oczekiwaniu na kawę.

Maggie zastanawiała się, czy opowiedzieć o tym, co zaszło poprzedniego wieczoru. Kiedy Eliot nie pojawił się o ósmej, zrezygnowała z trzymania warty na werandzie, gdzie od brzasku zapatrzona w jezioro obmyślała, jak się zachować, gdy chłopak przyjedzie.

Tymczasem przybyli malarze i sama musiała wydać im polecenia. Dopiero wtedy przyszło jej do głowy, że Eliot może w ogóle się nie zjawić, i uznała, że to najlepsze wyjście z sytuacji.

- Pewnie zasnął - odparła.

- Znam to - powiedziała Claire, biorąc od Maggie kubek ze świeżą kawą. - Muszę zaraz jechać do Coreyville, odebrać dekoracje, które zamówiłaś, chociaż nie rozumiem, po co nam te sztuczne liście.



Mam tysiąc spraw do załatwienia. Znikam. Dzięki za kawę.

Wyszła z kubkiem, nie czekając na wyjaśnienie nieobecności Eliota.

Maggie przyjęła z ulgą to, że się nie pojawił. Tak lepiej. Nie mogła przecież zwolnić z pracy syna Robbiego. I tak już zraniła jego dumę. Co by powiedziało Litde Bear Lake, gdzie, jak w każdym małym mieście, ludzie wiedzą wszystko o wszystkich? Siedząc o brzasku na werandzie, miała nadzieję, że Eliot podejmie taką właśnie decyzję. Była całkowicie pewna, że to najlepsze rozwiązanie. Teraz już nie była o tym przekonana. Claire wróciła z Coreyville o piątej po południu. Z pomocą Maggie wypakowała sterty toreb i kartonów z zakupami, wypła przy barze szklankę wody i ruszyła do wyjścia.

- Mam za sobą długi dzień, do zobaczenia jutro. Powiedz Eliotowi, że odebrałam w „Radio Shack” płyty, które zamówił. Aha, powtórz mu, że przyszły armatury do toalet - krzyknęła jeszcze od drzwi i już jej nie było.

Zanim Maggie zdążyła cokolwiek powiedzieć, usłyszała odjeżdżający samochód. Po chwili wyszli też malarze. Eliot nie pojawił się przez cały dzień.

O siódmej przygotowała sobie kolację, zniosła ją na werandę, ale zjadła zaledwie kilka kęsów, upiła łyk wina i odsunęła tacę. Zeszła na brzeg jeziora, skąd mogła lepiej widzieć pomost przy dawnej kryjówce, teraz pusty, jeśli nie liczyć mewy, która

przysiadła na palu. Ani śladu Eliota, ani śladu ducha jego ojca.

Pójdę tam, mówiła sobie. Sprawdzę, czy nic mu się nie stało.

Wiedziała jednak, że tak naprawdę chodzi jej o coś zupełnie innego.

Po dziesiątej wieczorem zadzwonił telefon. Maggie podskoczyła, upuściła czytana właśnie książkę, przewróciła szklankę z wodą mineralną.

Podniosła słuchawkę z nadzieją, że usłyszy jego głos, gotowa udawać, że martwi się jedynie o jego samopoczucie. Nie zdradzi się z tym, jak przeraziła ją myśl, że już nigdy więcej go nie zobaczy. Usłyszała głos Lucy.

- Nie przeszkadzam, mamie? Rozmawiały o studiach Lucy, o *Księżycu*.

- Może przyjedziesz na Święto Dziękczynienia? Lucy odpowiedziała niezobowiązująco: nie wie,

ma dużo zajęć, wybiera się na rajd. Zobaczy.

- Wyślę wam obu bilety - zaproponowała Maggie, wiedząc, jak ważny to argument dla dwóch młodych dziewczyn.

Zastanawiała się, czy chłód Lucy nie zrodził się przypadkiem po rozwodzie rodziców.

Jako starsza z córek czuła się zawsze bardziej obciążona kłopotami rodzinnymi. Zawsze silnie przeżywała to, co działo się wokół: od śmierci najbliższych i ukochanych zwierzątek, przez niepowodzenia w szkole czy odwołane wakacje, po głód na świecie, jakby dźwigała

na swoich barkach wszystkich ludzkich nieszczęść po trochu. Teraz Maggie, słysząc troskę w głosie córki, zapomniała o własnych zmartwieniach.

- U ciebie wszystko w porządku, skarbie? Może chcesz porozmawiać? Zamieniam się w słuch. -Słyszała na drugim końcu linii westchnienia i coś jakby odgłos nerwowego stukania ołówkiem. Widome oznaki zdenerwowania Lucy. W końcu dziewczyna zdecydowała się powiedzieć to, co najpewniej było powodem telefonu do matki.

- Mamo, ona jest w ciąży - oznajmiła głuchym głosem.

Maggie zdrewniała. Diana w ciąży? Och, nie, nie Diana, nie jej córka. Obydwie miały jeszcze czas, powinny najpierw ułożyć sobie życie.

- Możesz w to uwierzyć? - zapytała Lucy, teraz już ze złością.

Nie złościłaby się przecież, że siostra zaszła w ciążę. Raczej byłaby zaniepokojona.

Wreszcie Maggie pojęła.

- Kto jest w ciąży, kochanie? - zapytała na wszelki wypadek.

- Bridgette, a któż by inny? - krzyknęła Lucy. -To żenujące.

Maggie pokręciła głową. Usiłowała spojrzeć na całą sprawę z dystansu. Biedna Lucy, biedna Diana. To przecież krew z ich krwi, ich rodzina; teraz już na zawsze będą związane z Bridgette.

- Nie ma w tym nic żenującego, żadnej twojej winy. Rzecz tylko z pozoru wygląda fatalnie. Pomyśl, że będziesz niedługo niańczyła malucha. Wiesz, co to

za przeżycie? - Nagle zdała sobie sprawę, że Joe będzie miał siedemdziesiąt lat, kiedy dziecko Bridgette osiągnie wiek Lucy. To dopiero prawdziwy odjazd w stylu lat sześćdziesiątych.

- Chcesz powiedzieć, że masz to w nosie? -Pytanie Lucy wywołało uśmiech na twarzy Maggie. A więc jej dziewczynki ciągle o niej myślały, martwiły się o nią.

- Nie, ale przejmuję się trochę inaczej niż ty. Nie trap się mną, skarbie. Wszystko będzie dobrze.

Odwiesiła słuchawkę i potem płakała przez godzinę. Joe i Bridgette będą mieli dziecko! Dlaczego tak się tym martwi? Dlaczego nie założyła, że wcześniej czy później to może się zdarzyć? Czy nie zerwała ostatecznie ze swoim dotychczasowym życiem, ze starym domem, z człowiekiem z Beauchemin Street? A może to zazdrość? Zazdrość, że Joe zaczyna wszystko od początku z kimś innym, bez wspomnień i wyrzutów sumienia, a ona, Maggie Patterson, nie może dokonać tego samego.

Tak czy inaczej było to bolesne.

Obudziła się o brzasku. Tak samo jak wczoraj słyszała pierwsze kruki szukające jedzenia. Ostatniej nocy podjęła ważne decyzje. Po pierwsze, świat zna gorsze rzeczy niż narodziny dziecka. Dziewczynki pokochają w końcu przyrodnie maleństwo. Joe zachowa młodość, będzie musiał być na bieżąco z listami przebojów roku 2015. Ludzie jego pokroju potrzebowali kogoś, czegoś, by zachować młodość.

Naprawdę bywają na świecie gorsze rzeczy od niemowląt. Nad jeziorem wschodziło słońce, czaple zaczynały brodzić w poszukiwaniu śniadania, a Maggie uświadomiła sobie, że nie można łowić duchów, próbować przywracać ich do życia. Robert Flaubert nigdy nie powróci, a ona musi nauczyć się żyć z tą świadomością. Teraz powinna usnąć i postarać się, żeby Little Bear Lake miało tego roku zabawę dożynkową, jakiej najstarsi ludzie nie pamiętają. Żeby tylko mogła usnąć... Przestać myśleć o Eliocie...

## *Szafa grająca*

**Księżyc żniwny:** *pełnia przypadająca na równonocjesienną... jak zwykle w pełni, księżyc żniwny wschodzi zaraz po zachodzie słońca, dlatego żeńcy na półkuli północnej mogą przez kilka kolejnych wieczorów sprzątać w jego świetle plony z pól.*

hasło ze starej encyklopedii przepisane przez Maggie za czasów studenckich

Następnego dnia, w piątek rano, Maggie obudził gwar głosów dochodzący z dziedzińca. Spała tak głęboko, że nie słyszała podjeżdżających na parking samochodów, trzaskania drzwiczek, przerzucania skrzynek z narzędziami. Potrzebowała tego snu. Dopiero gdy nastawiła ekspres, wyjrzała przez okno, licząc po cichu, że zobaczy furgonetkę Eliota. Długo odwlekała ten moment: umyła twarz, wyszorowała zęby, przygotowała kawę i dopiero odchyliła firankę. Zobaczyła samochód Claire, forda Gila na zwykłym miejscu pod klonem,

jeszcze jakiś czerwony wóz, którego dotąd nie widziała przed *Księżycem*, ale furgonetki nie było. Chyba że przyjechał tym czerwonym wozem. Może go od kogoś pożyczył? Maggie westchnęła. Co się z nią dzieje? Jak to mówiła Claire o swoim bujającym w obłokach pierwszym mężu? Że brakowało mu poczucia rzeczywistości. Maggie mogłaby powiedzieć to samo o sobie.

Z dołu dochodził rzeński głos Claire, odmlodniały, wypoczęty, tryskający energią. Na werandzie Maudy pouczała Gila, jak zawieszać dekoracje:

- Krzywo, Gilbert. Przesuń trochę w lewo. Teraz lepiej.  
- Teraz dopiero jest krzywo, zobacz - złościł się Gil. Maggie zeszła na dół zobaczyć, co robi Claire; stała

właśnie przy odsuniętej od ściany szafie grającej i coś tam majstrowała.

- Witaj. Słyszę, że rozpiera cię dzisiaj energia - zagadnęła Maggie.

- Czego nie można powiedzieć o tobie. Dobrze spałaś?

Maggie wzruszyła ramionami.

- Tyle zamieszania z tym otwarciem. Chyba zdążymy. Mamy jeszcze cały dzień.

Obydwie wspólnymi siłami przysunęły szafę do ściany.

- Eliot źle się czuje. Dzwonił do mnie wczoraj wieczorem, że przyśle kogoś, kto zajmie się robotami hydraulicznymi.

Maggie poczuła, że się czerwieni. Odwróciła się szybko i podeszła do baru, by nalać sobie szklankę soku pomarańczowego.

- Źle się czuje? - zapytała, wyjmując butelkę z lodówki. Claire nic chyba nie zauważyła. Wspinała się właśnie na drabinę, trzymając w dłoni girlandę sztucznych liści.

- Pewnie jest przemęczony - mruknęła. - Napracowaliśmy się wszyscy przez ostatnie dwa tygodnie. A, właśnie, włożyłam do szafy płyty, które zamówił. Te, które przywiozłam wczoraj z Coreyville. Mówiłam ci? Zależało mu szczególnie na jednej. Dziewczyna w sklepie płytowym nie mogła uwierzyć, że można ją jeszcze dostać. Dla niej to prehistoria. Nie mów Eliotowi, że ci wygadałam, ale zamówił tę płytę specjalnie dla ciebie. Chciał ci zrobić niespodziankę. Będiesz zachwycona. To Neil Young. Masz pojęcie, że on jeszcze żyje?

Maggie dziękowała Bogu, że Claire, jak to ona, nie przestaje trajkotać. Najwyraźniej nie zauważyła zmieszania przyjaciółki.

- To miło ze strony Eliota. Wiem, że Young jeszcze żyje, chociaż to prawie niemożliwe.

- Uważaj, mówisz o facecie z Kanady - przestrzegła ją Claire.

W drzwiach pojawili się Maudy i Gil; chyba zdołali wreszcie wyjaśnić różnice zdań na temat sztuki dekorowania wnętrz i elewacji.

- Śliczny ranek - zagadnęła Maudy, obejmując Maggie. Gil pokiwał dłonią na powitanie i ruszył w stronę toalet, gdzie pracowali robotnicy.

- Uważa, że musi sam wszystkiego dopilnować - szepnęła Maudy.

- Jesteśmy więc w dobrych rękach - zapewniła ją Maggie.

- Claire, kochanie, na pewno masz dość owoców



i jarzyn na patery? - Maudy podeszła do drabiny, na której stała Claire; trzymała w zębach girlandy sztucznych liści i przymocowywała je do sznurka rozciągniętego od jednego do drugiego końca sali.

- Tak, Maudy - mruknęła Claire przez zęby.

- A co z tymi... no, wiesz, Maggie chciała...

- Tartinki - odpowiedziała Claire. - Są już, Maudy.

- A sałatki z delikatesów?

- Przywieźli. - Claire posłała Maggie zdesperowane spojrzenie. Maggie podniosła brew, jakby chciała powiedzieć: „Radź sobie, dziewczyno”, i podeszła do drzwi. Samochód Claire, ford Maudy i Gila, czerwony nieznany wóz. Zostawiła Claire na pastwę Maudy i wyszła na ganek. Widziała stąd majaczący w oddali pomost: pusty. Nawet zwykle stercząca na palu mewa gdzieś się zawieruszyła. Ani śladu życia, tylko gdzieś przy drugim brzegu jeziora małe punkciki łodzi ostatnich w tym sezonie wędkarzy. Domu Eliota nie była w stanie dojrzeć, mogła tylko domyślać się, że gdzieś tam jest. Czy i on spogląda w jej stronę? Może siedzi na pomoście? Robert na pewno postawił pomost koło domu. Ludzie mieszkający wokół jeziora kierowali się niepisanym prawem: masz dom nad wodą, musisz mieć pomost. Czy gdzieś tam był Eliot, czy przyglądał się wędkarzom tak samo jak ona? Czy od siebie mógł dojrzeć rozłożystą bryłę *Księżycy*?

W południe, kiedy dwaj hydraulicy skończyli zakładać nowe armatury, Maggie poczęstowała ich mrożoną herbata.

- Przyjaciele Eliota - dokonał prezentacji Gil.
- Miło mi poznać. Ile jestem winna? - zapytała otwierając książeczkę czekową. Wyższy z mężczyzn spojrzał na nią zaskoczony i pokręcił głową.
- Nic pani nie jest winna. Wyświadczyliśmy przysługę Eliotowi. Chcieliśmy jakoś mu się odwdzięczyć.
- Teraz na twarzy Maggie odmalowało się zdziwienie.
- Eliot to złota rączka, ale nigdy nie bierze pieniędzy od przyjaciół - wyjaśnił drugi. - W zeszłym tygodniu- zreperował mi łódź, a miesiąc temu pomógł załatać dach w letnim domku. Prosił, żebym dokończył robotę w toaletach, to wziąłem brata, niech się uczy hydrauliki. Nie ma o czym mówić - powiedział z uśmiechem.
- Maggie zamknęła książeczkę czekową. Teraz wiedziała z całą pewnością, że jest na wsi.
- Dziękuję wam. Przyjdźcie jutro na zabawę, zapraszam i stawiam drinki.
- I tak byśmy przyszli. Nie byliśmy na tańcach od zamknięcia *Księżycy* - powiedział wyższy.
- Do zobaczenia jutro - pożegnała ich Maggie. Czerwony samochód odjechał, a za nim ford Maudy i Gila. Została tylko Claire, która właśnie skończyła zawieszać pod sufitem sztuczne liście.
- Co myślisz? - zapytała, zadzierając głowę i podziwiając swoją robotę.
- Wspaniale - pochwaliła Maggie.
- Nie pytam o liście - mknęła Claire i posłała Maggie spojrzenie z serii „nie nabierzesz mnie, przecież widzę, co się z tobą dzieje”. - Pytam o Eliota.

Usiadły na werandzie, popijając w milczeniu kawę po irlandzku. Pierwsza odezwała się Maggie - to ona zaproponowała, żeby porozmawiały. Musiała podzielić się z kimś swoimi myślami, a Claire najwyraźniej czegoś się domyślała.

- Co mam robić? - zapytała w końcu, jakby oczekiwała, że przyjaciółka ma gotową odpowiedź. - Wiesz, co to znaczy obudzić się nagle i stwierdzić, że zawrócił ci w głowie syn twojego dawnego chłopaka?

Claire zmarszczyła czoło.

- Nie wyobrażam sobie, a już myślałam, że nic mnie nie może zaskoczyć.

Tarcza słońca skryła się za jeziorem. Niebo zaciągnęło się szkarłatem, potem poróżwiało. Natura-malarka w ciągu kilku minut odmieniła jego barwy.

- Wariuję, Claire. Nie śpię po nocach, teraz na dodatek martwię się o niego. I tak dosyć przeżył.

Claire pokiwała głową, dopiła kawę, odstawiła z łoskotem swój kubek. Wstała, otuliła się swetrem i przez chwilę spoglądała na jezioro.

- Dlaczego nie spytałaś mnie dotąd, czy Robbie ci przebaczył? - zapytała nieoczekiwanie. Maggie wzruszyła ramionami.

- Chyba się bałam, co usłyszę.

- I tak ci powiem. Może ci ulży. On ci przebaczył. Skąd wiem? Ponieważ zaczął mówić o tobie. Pewnego wieczoru, na krótko przed ślubem z Julią, przyszli razem do *Księżycy*. Julia przysiadła się do przyjaciół z Coreyville, chciała z nimi porozmawiać. Robbiemu zebrało się na wspomnienia. Wracał do naszych wspólnych wypraw, zastanawiał się, jak ci się wiedzie.

W końcu powiedziałam mu: „Nie wiem, czy Maggie jest szczęśliwa, mam nadzieję, że tak, ale gdziekolwiek jest, cokolwiek robi, na pewno nie zapomniała o nas. Wspomina, tak jak my w tej chwili". Po ślubie świata nie widział poza Julią. Była taka piękna i słodka. Musisz spojrzeć na to z dystansem. Byłaś pierwszą miłością Robbiego, on twoją też. Tego się tak łatwo nie zapomina. Pierwszą miłość zawsze otacza aura romantyzmu, ale to wszystko. Uczucie się kończy.

- Wybaczył mi? - zapytała Maggie cicho. Bała się, że się rozpłacze.

Claire skinęła głową.

- Mogłam ci to powiedzieć od razu, gdy tylko zjawiłaś się w Litde Bear Lake. Czekałam, kiedy zapytasz. Tak naprawdę nie było czego wybaczać. Byliście tacy młodzi.

- Dlaczego życie jest takie skomplikowane? Żeby choć jakaś instrukcja obsługi...

- Wiesz, co myślę? - zagadnęła Claire.

Maggie pokręciła głową. Nic już nie wiedziała: co myśli Claire, Eliot i co myśli ona sama.

- Powiedz, co myślisz.

Claire przyklękła przy fotelu Maggie, spojrzała jej w oczy i poklepała po ręce.

- Myślę, że miłość, w każdej formie, w każdym kształcie, warta jest wszystkiego. Musisz tylko być pewna, że to naprawdę miłość. To nie rok sześćdziesiąty dziewiąty, skarbie. Jeśli jesteś pewna, nie masz się czym martwić. Muszę lecieć. Wpadnę jutro rano na kawę.

Maggie skinęła głową.

- O ósmej?

- Po otwarciu będziemy wysypiać się do dziesiątej. Mój zegar wewnętrzny zaczyna się buntować. - Claire uściskała Maggie na pożegnanie i zniknęła.

Po kolacji, którą zjadła na dole przy kominku, Maggie siedziała długo zapatrzona w ogień. „To właściwie nie polana się spalają” - powiedział jej kiedyś Robbie, gdy siedzieli przy tym samym kominku, wsłuchując się w odgłosy deszczu bębniącego o dach. „Gorąco uwalnia gaz, który zapala się przy zetknięciu z denem”. Nauczył ją tylu rzeczy, o których nie usłyszałyby nigdy na studiach, ważnych rzeczy na temat przyrody, których na próżno by szukać w podręcznikach uniwersyteckich. „Widzisz te bazy? Jeśli rosną w pobliżu, człowiekowi nie grozi głód. Można gotować ich korzenie i jeść jak ziemniaki” - opowiadał, kiedy wędrowali przez pełne kosów podmokłe łąki w pobliżu *Księżycy*. W czasie spacerów uczył ją rozpoznawać ptaki, kwiaty, motyle, szkicował je pospiesznie w swoim szkicowniku. Co by teraz powiedział o naturze człowieka, gdyby się dowiedział, co Maggie czuje do jego syna?

Wstała i z kieliszkiem w dłoni wyszła na werandę. Gdzieś z oddali dochodził odgłos samochodu jadącego drogą wzdłuż jeziora, po chwili dojrzała blask reflektorów, potem tylne światła, dwa rozjarzone czerwone punkty w ciemnościach. I one zniknęły, zamarł odgłos silnika, jakby samochód był zaledwie zjawą, wytworem imaginacji. Znowu zapadła cisza,

przerywana od czasu do czasu niesamowitym pohukiwaniem sowy. Kiedy usłyszała je po raz pierwszy, tutaj w Litde Bear Lake, przestraszyła się, tak niesamowity wydał się ten dźwięk dziewczynie z miasta. Robbie, widząc jej przerażenie, zaśmiał się, a potem próbował ją uspokoić: „To tylko mały ptak, Maggie”. Pod koniec lata pokochała te pohukiwania, nie przeszkadzały jej nawet obyczaje małego drapieżcy i sposób, w jaki pożerał swoje ofiary, o czym Robbie opowiedział jej, nie szczędząc szczegółów. Stała teraz, nasłuchując, czy ptak odezwie się ponownie, jakby na zawsze chciała zapamiętać jego głos. Tymczasem doszły ją dźwięki muzyki płynące gdzieś od strony pomostu. Eliot. Przysłuchiwała się przez jakiś czas, próbując wyobrazić sobie chłopaka. Od trzech dni nie pojawił się w *Księżycu*. Co myślał? Nigdy się już nie zjawi? Niemal czuła jego obecność, jak czuła noc, ziemię, wody jeziora.

Wróciwszy do baru wyjęła z kasy kilka ćwierćdola-rówek, podeszła do szafy grającej i zaczęła czytać listę tytułów. Były tu wszystkie ulubione piosenki Rob-biego, stare, klasyczne już przeboje. *Blue Moon* (chłopak marzy o dziewczynie), *Some Enchanted Evening* (chłopak poznaje dziewczynę), *Stranger in Paradise* (chłopak zakochuje się w dziewczynie), *You Send Me* (sprawa jest poważna), *Light My Fire* (naprawdę poważna). Muzyka nigdy nie znika - pomyślała Maggie. Niczym światło ulega zakrzywieniu w przestrzeni i powraca, przynosząc ze sobą te same uczucia, ten sam śmiech i ból. Raz jeszcze odczytała tytuły: *Darling, you*

*send me, honest you do*, Sammy'ego Cooke'a. Został zastrzelony w 1964 roku przez jakiegoś zazdrosnego męża. Miał dwadzieścia dziewięć lat. Był utalentowany, przystojny. Zginął, zostały tylko piosenki. I Ezio Pinza. Maggie nacisnęła przyciski M-7, M -jak Maggie, i po chwili rozległ się niski, ciepły głos, harmonizujący ze złotymi refleksami ognia buzującego na kominku. *Noc w noc, dziwna rzecz, jak będzie w ustach brzmiał ci jej śmiech*. Maggie zaczęła tańczyć samotnie, jak Robbie zwykł tańczyć, słuchając tej piosenki. Wyciągnęła ręce, jakby jedną obejmowała szyję, drugą trzymała dłoń ducha. *W zaczarowany wieczór odnajdziesz prawdziwą miłość, usłyszysz w tłumie jej wołanie*. Kiedy piosenka przebrzmiała, Maggie podeszła do szafy i raz jeszcze spojrzała na listę tytułów. Neil Young, kochany stary Neil, śpiewający o radościach i cierpieniach. *Jesienny księżyc*, tytuł wypisany starannym pismem Claire. Niespodzianka Eliota, wspaniała piosenka na otwarcie. Nacisnęła E-1, E - jak Eliot; to Gil niegdyś wprowadził zwyczaj opatrywania piosenek pierwszymi literami imion stałych gości. Claire uczyniła to samo, przez pamięć minionych dni. Zabrzmiały pierwsze takty i Maggie znowu zaczęła kołysać się na parkiecie. W jej oczach zalśniły łzy, jakby słyszała po raz pierwszy smętne słowa: *Zbliź się posłuchaj, prześnijmy razem tę noc*. Tańczyła na cześć nurów, jeziora, jak niegdyś tańczyli Indianie. Na cześć zmarłych. I żywych. *Księżyc już w pełni, zatańczmy, gdzie muzyka gra, Zatańczmy, bo cię kocham, chcę widzieć, jak płaszasz przy jesiennym księżycu*.

## *Zabawa*

*Kiedy się nie gnaliśmy, patrzyłem na ciebie z daleka,  
Kiedy cię pokochałem, pokochałem z całego serca.*

*Pózo już i księżyc wysoko,  
Uczcijmy to, że ciągle cię kocham,  
Tańczmy, bo ciągle cię kocham,  
Tańczmy przy jesiennym księżycu.*  
Neil Young, *Jesienny księżyc*

Nadszedł dzień wielkiego otwarcia, słoneczny i bezchmurny. Maggie nie widziała jeszcze w Litde Bear Lake tak błękitnego nieba. Maudy uczciła to wydarzenie, dzwoniąc o dziewiątej rano, by zapytać, czy Maggie była już na dworze i widziała, jaka piękna pogoda. - Jak na zamówienie - zachwycała się. - Nie pamiętam piękniejszego dnia przesilenia. Raz tylko było tak ładnie, że goście tańczyli na brzegu jeziora,



a orkiestra grała na werandzie. Pamiętasz? Robbie rozpałił wtedy wielkie ognisko. Maggie uśmiechnęła się. Pamiętała. Było jej miło, że jej przyjaciele wymieniają przy niej imię Roberta. Rzeczywiście rozpałił ognisko, cały czas podśpiewując *Come on baby, light my fire*, jedną ze swoich ulubionych piosenek, i tańczył wokół ognia niczym w jakimś pogańskim rytuale.

- Przyjedziemy wcześniej. Aha, i powiedz Eliotowi, niech dopilnuje, żeby ktoś skosił suchą trawę koło muru. Może zabraknąć miejsc do parkowania.

- Powiem - zapewniła Maggie.

- Gil mówił mu o tym w zeszłym tygodniu, ale na wszelki wypadek jeszcze mu przypomnij.

- Przypomnę - powtórzyła. Gil i Maudy nie zauważyli więc czterodniowej nieobecności Eliota; wszyscy byli tacy zaaferowani przygotowaniami do otwarcia. A jeśli nie pojawi się dzisiaj? Nie przyjdzie na tańce? Jak Maggie to wytłumaczy?

Na parking wjechał mały Chevrolet Claire, wznosząc jak zwykle tumany kurzu. Po chwili w barze ukazała się jego właścicielka objuczona torbami.

- *Good morning Mrs. Robinson* - zawołała od progu, ale Maggie nie odpowiedziała, nawet nie uśmiechnęła się na to żartobliwe powitanie, patrzyła tylko, jak Claire stawia torby na barze.

- No i co? - zapytała w końcu.

- Cztery razy nagrałam się na sekretarkę. Nie oddzwonił. Podjechałam pod jego dom po drodze tutaj. Furgonetki nie ma. Nic więcej nie potrafię ci powiedzieć.

Maggie zostawiła Claire za barem, zajęta układaniem grafiku dla kelnerek, które zatrudniła kilka dni wcześniej. Dzisiejszego wieczoru, zważywszy na przewidywany tłok, miały pracować wszystkie cztery. „Ta mała Hargrove jest taką samą niezdara jak ty” - powiedziała Claire, opowiadając o nowych pracownikach. Teraz wszystko zdawało się nieważne. To, co zaczęło się jako wspaniała przygoda, zamieniło się w gorzkie doświadczenie. Dlaczego? Dlaczego ten młody chłopak wypełnia jej myśli do tego stopnia, że cała reszta schodzi na drugi plan? Eliot Flaubert. Syn Roberta. Zastanawiała się, co na to wszystko powiedziałyby matka, gdziekolwiek teraz przebywała. Maggie bardzo było jej brak, chciała, żeby starsza pani mogła widzieć ją teraz: jako właścicielkę lokalu, bez męża, bez dzieci. Czy Diana Patterson byłaby z niej dumna, czy wręcz przeciwnie? W najśmielszych snach nie przypuszczała, że córka będzie kiedyś prowadzić tancbudę. Wychowana w Nowej Anglii, była osobą trzymającą się sztywnych zasad, gospodynią domową, która we wszystkich ważnych sprawach zdawała się na męża. Maggie pamiętała jeszcze białe rękawiczki, które obydwie zakładały w niedzielę do kościoła. Dopiero kiedy poszła do szkoły średniej, zaczęła się buntować, jak każda nastolatka. Jak mogła się nie buntować? Dorastała przecież w latach sześćdziesiątych, w okresie buntu, kiedy kobiety paliły biustonosze i domagały się równych praw: swojej części amerykańskiego tortu. Maggie, dziecko rewolucji, poprzysięgła sobie, że jej córki nigdy nie będą zakładały białych rękawiczek w niedzielę ani w żaden inny dzień. Dziwne, ale łatwiej przychodziło jej umiejscowić spot-

kanie z Eliotem w latach sześćdziesiątych, kiedy to poznała jego ojca. Z upływem czasu coś się zmieniło, coś stało się z dziećmi-kwiatami: buntownicy ustatkowali się, pozakładali własne rodziny, powrócił klimat konserwatyzmu, a w Maggie odezwało się nowoangielskie wychowanie. Ona, czterdziestosześcioletnia kobieta, zastanawiała się, co matka powiedziała by o mężczyźnie, który się jej podoba!

Z dziedzińca dochodziło buczenie. Podeszły z Claire do okna. Kolo muru młody człowiek ciął trawy i chwasty gazową kosiarką.

- Danny Vincent. Jeszcze jeden przyjaciel Eliota - poinformowała Claire.

- Zapewne i on ma jakiś dług wdzięczności do spłacenia - powiedziała Maggie i poszła na brzeg jeziora. Miała wrażenie, że podąża na spotkanie przyszłości rozpościerającej się przed nią niby gładka, niczym jeszcze nie naznaczona błękitna tafla.

- Dobrze się czujesz? - zawołała Claire, stojąc na ganku. - Krążysz z takim uporem, że archeolodzy za tysiąc lat gotowi pomyśleć, że ktoś tu odbywał tańce rytualne.

Maggie spojrzała w stronę małego pomostu, pustego, jeśli nie liczyć stałego gościa - wiernej mewy.

- Nic mi nie jest - powiedziała w końcu. - To chyba rzeczywiście jakiś rytuał.

I ruszyła z powrotem w stronę *Księżycy*.

Goście napływali niewielkimi grupkami, parami i w pojedynkę, ale nieprzerwanie: z Coreville, z Per-

cyton, ze wszystkich pobliskich miast i miasteczek. Przyjechali na zabawę dożynkową. W 1958 roku Maudy i Gil, otwierając *Księżyc*, ustalili zwyczaje obowiązujące na tych dorocznych tańcach: mężczyźni w garniturach i krawatach, kobiety w najpiękniejszych sukniach wieczorowych, jakie można było znaleźć w miejscowych sklepach. „Niewiele jest okazji w Litde Bear Lake, by się stroić” - usłyszała Maggie w czasie swojej pierwszej zabawy dożynkowej w 1967 roku, kiedy to zrobiła sobie długi weekend na uniwersytecie i przyjechała na jesienną uroczystość. Nie dla pokazania się w nowej sukni ani dla tańców, ale dla Roberta Flauberta. Robbie przyszedł, jak zawsze, w dżinsach. Nigdy nie ubierał się inaczej, nikt nie miał mu więc tego za złe, oprócz Maudy. Maggie od razu zrozumiała, że jesienna zabawa była dla niego, podobnie jak dla reszty miejscowych, czymś wyjątkowym: uroczystym pożegnaniem lata, sposobieniem się do długiej zimy, swoistym rytuałem, dalekim echem celtyckich zwyczajów, prawdziwym świętem. Czy Eliot zlekceważy tę tradycję i nie przyjdzie?

Przekąski cieszyły się ogromnym powodzeniem, chwalono dekoracje z girland liści, panowała pogodna atmosfera, a na kominku płonęło jedno tylko polano, tak ciepły był wieczór jesiennej pełni 23 września 1995 roku. Żeby zrobić przyjemność Maudy, Maggie wystąpiła w sukni, ale przez dwadzieścia pięć lat wiele się zmieniło i część dziewcząt przyszła w spodniach, kilka nawet w dżinsach. Maudy patrzyła na nie krzywym okiem. Claire, nieodrodna córka lat sześćdziesiątych, miała do tego odmienny stosunek, dla

niej najważniejsze było słowo „wygoda”. „Ani mi się śni zasuwac cały wieczór za barem w falbankach. Nie obchodzi mnie, co powie Maudy” - oznajmiła kategorycznie. Maudy rzeczywiście skrzywiła się na widok jej dzinsów i bawełnianej koszulki, pokręciła głową, ale nic nie powiedziała.

Kapela z Coreyville okazała się zupełnie znośna i wkrótce parkiet zaroił się od tańczących. Gil i Maudy, znowu w swoim żywiole, wydawali kelnerkom tace z tartinkami, krążyli po sali, doglądali, czy nikomu nic nie brakuje. Claire uwijała się za barem zmęczona, ale zadowolona. Rano zaproponowała Maggie, że chętnie weszłaby do spółki. Mówiła, że po powrocie do Little Bear Lake rozważała możliwość kupienia *Księżycy*, ale nie wystarczyło jej pieniędzy. „Spłaciłabym swoją połowę w ciągu kilku miesięcy” - zapewniła. Maggie chętnie na to przystała, tym bardziej że wbrew ostrzeżeniom Joego interes zapowiadał się dobrze. Niech Joe zajmuje się pieluchami, Maggie będzie prowadziła *Księżyc*.

Minęła dziesiąta, a Eliot ciągle się nie pojawiał. Orkiestra zrobiła sobie przerwę, zabrzmiały piosenki z szafy grającej. Maggie wypatrywała w tłumie tańczących szczupłej, wysokiej sylwetki.

- Widziałaś go? - zapytała w pewnym momencie Claire, ale ta pokręciła tylko głową i wróciła do mieszania drinków. O dziwo, Gil i Maudy byli tak zaaferowani, że dotąd nie zauważyli nieobecności Eliota. Zależało im na tym, żeby Maggie poznała jak najwięcej mieszkańców Little Bear Lake. Niektórzy pamiętali ją sprzed lat, inni byli zbyt młodzi, ale

wszyscy witali ją serdecznie, szczęśliwi, że *Księżyc* znowu otworzył swe podwoje. Gdyby tylko Eliot raczył się pojawić. Martwiła się o niego.

Koło jedenastej miała wrażenie, że dłużej nie zniesie pełnego napięcia wyczekiwania. „Nie przyjdzie. Nie przyjdzie” - powtarzała sobie w duchu. Kapela zrobiła kolejną przerwę. Maudy przedstawiła Maggie miejscową bibliotekarkę, Peggy Montgomery, i obydwie zagłębiły się w rozmowie na temat możliwości organizowania w bibliotece wieczorów autorskich popularnych pisarzy, gdy Maggie usłyszała po raz pierwszy tego wieczoru piosenkę Neila Younga, ulubioną piosenkę Eliota. Spojrzała odruchowo w stronę baru, gdzie zwykle siadywał Robbie, czekając, aż Maggie skończy obsługiwać gości. Jest. Eliot przyszedł. Wpatrywał się w nią bacznie. W tłumie roześmianych, rozgadanych, roztańczonych gości widziała tylko jego twarz. Po chwili przesłonili ją tancerze, zniknęła w morzu innych twarzy. Eliot.

Maggie pożegnała Peggy Montgomery i ruszyła w stronę baru. Kiedy się tam wreszcie precisnęła, Eliota już nie było. Claire przywołała ją do siebie.

- Trafisz do Księgi rekordów Guinnessa - szepnęła.

- Dlaczego? - zapytała Maggie, marszcząc brwi.

- Za złamanie dwóch serc, z dwóch kolejnych pokoleń. Chyba nikt jeszcze nie startował w tej dyscyplinie. Nawet Cher.

Maggie nie było wcale do śmiechu. Przyjęła kieliszek wina podsunęty przez Claire.

Poprzedni odstawiła gdzieś i zapomniała gdzie, zajęta ściskaniem dłoni, wymianianiem grzeczności, uśmiechów, zapa-

miętywaniem twarzy i imion. Gil i Maudy nie odstępowali jej przez cały wieczór, bez przerwy kogoś przedstawiali. Teraz wreszcie zostawili ją samej sobie i z foteli na werandzie, zadowoleni, obserwowali rozbawiony tłum.

- Gdzie on się podział? - zapytała Maggie, ale Claire wzruszyła ramionami.

- Ja tu tylko nalewam drinki. Mam przestać i odszukać ci go? Gdziekolwiek jest, na pewno jest zakochany. Widać to na odległość.

Przy barze cisnęli się goście napływający z każdego zakątka, z każdego kąta i zakamarka. Czy w Litde Bear Lake, w Coreyville, w Lakeview została żywa dusza? Maggie wyobraziła sobie miasteczka opustoszałe, jak po przejściu Pieda Pipera. Usłyszała kolejną piosenkę z szafy grającej. Niski, donośny głos Ezia Pinzy. Zapewne Eliot ją puścił. Na pewno. Stara piosenka Robbiego. *Zaczarowany wieczór*.

Spoglądał na nią z drugiego końca sali, z miejsca, gdzie stała przed chwilą z Peggy Montgomery. Bawi się z nią? Próbuje jej umykać, czy przyszedł się z nią zobaczyć? Uśmiechnęła się, ale nie odpowiedział uśmiechem. Miał na sobie czerwony t-shirt i dżinsy. Niech go tylko Maudy zobaczy. Zawsze prosiła Robbiego, żeby nałożył garnitur. Eliot nie spuszczał oczu z Maggie. Co ma mu powiedzieć? „Zostańmy przyjaciółmi. Miłość to zbyt poważna sprawa. Nie udźwigniemy takiego ciężaru”? Tak dobrze było widzieć go znowu. *Kto*

*wie dlaczego? Mądry milczą, głupcy wiedzą. W zaczarowany wieczór odna/dziesz prawdziwą miłość...* Dlaczego czuje gwałtowny ucisk w gardle, jak wtedy, gdy człowiek zakochuje się po raz pierwszy? Napięcie wywołane otwarciem *Księżycy*, troska o Eliota. To musi być to. Oparł się właśnie o ścianę, ręce założył na piersi i ciągle się w nią wpatruje. Zaczęła się przeciskać przez tłum, zatrzymywana co chwila przez gości, którzy chcieli jej pogratulować, którzy już jej gratulowali wspaniałej zabawy, ale czuli potrzebę podzielenia się z nią raz jeszcze swoimi wrażeniami. Kiedy wreszcie dotarła na drugi koniec sali, piosenka się skończyła.

Eliota już nie było.

- Nie widziałeś Eliota? - zapytała Gila, który wszedł z werandy po kolejną szklaneczkę whisky. Maudy pozwoliła mu dzisiaj zaszaleć i zgodziła się, by wypił trzy.

- Właśnie odjechał. Wołałem za nim, chciałem zapytać, dlaczego tak wcześnie wychodzi, ale mnie nie usłyszał. No, jak się czujesz, dziewczyno, w roli właścicielki? Dzisiaj wygląda to nieźle, ale wpadnę w styczniu, jak będzie dwadzieścia pięć stopni mrozu. Wtedy pogadamy - powiedział, mrugając wesoło.

Dla Maggie wieczór się skończył. Magia prysnęła, gdy Eliot zniknął. Claire natomiast promieniała.

- Nie patrz tam teraz, ale przy końcu baru siedzi całkiem przystojny facet - szepnęła, kiedy Maggie do niej podeszła. - To wuj Penny Hargrove. Prawnik. Teraz rozumiesz, dlaczego ją zatrudniłam. Jest niezdarna jak ty kiedyś, ale ma niezłych krewnych. -



Maggie zerknęła w stronę nieznajomego. - Nie patrz! - syknęła Claire. - No dobrze, teraz już możesz. Prosił, żebym pojechała z nim na śniadanie do Coreyville. Tamtejsza knajpa otwarta jest do rana. Zgodziłam się. Obiecał poczekać, aż skończę. Maggie uśmiechnęła się i ścisnęła dłoń Claire.

- Jedź już teraz, dziewczęta posprzątają.

- Powiedział, że poczeka - opierała się Claire.

- Jedź. Dość się napracowałaś przez ostatnie tygodnie. Jeszcze dzisiaj rano twierdziłaś, że nie spotkasz już nikogo do rzeczy. Jedź.

Claire wytarła dłonie i wyszła z zapatrzonym w nią prawnikiem z Coreyville. Ostatnie zamówienia bar wydał za piętnaście pierwsza, trzy kwadransy temu. Kapela pakowała już instrumenty. Goście powoli zaczęli wychodzić. Maudy i Gil podeszli pożegnać się z Maggie.

- Dziwne uczucie. Koniec zabawy, a my nie idziemy na górę - powiedziała Maudy.

Z parkingu dochodziły odgłosy zapalanych silników, wesołe pożegnalne okrzyki. Ludzie kończyli wieczór w znakomitych nastrojach.

Wreszcie wszystko umilkło i kelnerki zabrały się do sprzątania. Do wtorku *Księżyc* miał być zamknięty. Mnóstwo czasu, żeby uzupełnić zapasy alkoholi i doprowadzić lokal do porządku. Gdy dziewczęta skończyły, Maggie została sama.

Usiadła wygodnie, stopy oparła o sąsiedni stół, zrazu porażona niezwykle ciszą. Czyżby wyobraziła sobie to wielkie otwarcie? Tłumy roześmianych ludzi? Toasty wznoszone za powodzenie lokalu?

Chmurnego Eliota w podkoszulku czerwonym niczym flaga ostrzegawcza? „Dlaczego się nie przywitał”? - zapytała Claire. „Przecież kazałaś mu trzymać się z daleka” - odparła przyjaciółka, swoim zwyczajem marszcząc brwi. „Pamiętasz przecież, jaki Robbie był dumny. Eliot jest do niego podobny. Dziwię się, że w ogóle przyszedł”.

Cisza. Tylko odgłos odstawianego kieliszka odbijający się głośnym echem po sali.

Monotonne kapanie wody z kranu. Plusk fal. Skrzypiące deski. Maggie miała wrażenie, że za chwilę zwariuje. Bał się skończył, Kopciuszek wrócił do przebierania popiołu.

Nad werandą księżyc w pełni. Jesienny księżyc. I raptem dochodząca z oddali muzyka. A więc jest na pomoście, koło kryjówki, gdzie zwykle czekał na nią Robbie. W pierwszej chwili oburzyła się. Dlaczego nie przywitał się z nią wieczorem? W końcu pracował równie ciężko jak inni i sukces zabawy był też jego udziałem. Bawił się z nią w chowanego? Dziecinne. Nie myślała podejmować gry. Jeszcze jeden kieliszek wina dla odprężenia i powinna poczuć się lepiej. Kieliszek na sen.

Na barze stała otwarta butelka Louis Jadot. Należało przecież uczcić ten dzień, zastanowić się. Zabawa udała się jak nigdy za czasów Maudy i Gila. Wypije więc za udaną zabawę, sama, przy dźwiękach muzyki. Wypije nawet za dziecko Joego. Cwierćdolarówki.

Znalazła je w szklanym kloszu, który Claire zostawiła pod barem.

Sączyła wino i słuchała ulubionych piosenek Robbiego. Z kieliszkiem w dłoni wyszła na werandę, by

przywitać świt. Było po czwartej. Powoli budziły się ptaki. W pewnej chwili wstrzymała oddech. Znowu. Niosąca się po wodzie, ledwie uchwytna muzyka Eliota. I majaczący niewyraźnie w oddali zarys pomostu. Eliot widzi zapewne światła w barze, wie, że ona nie śpi. Wróciła do środka. Jeszcze jeden kieliszek wina, jeszcze jedna piosenka i pójdzie spać. Dość emocjonalnej huśtawki. Kieliszek Louis Jadot i klawisze E-1, *Jesienny księżyc*. Muzyka duchów w pustym wnętrzu. *Zbliź się, posłuchaj. Prześnijmy razem tę noc*. Nagle zdjęła ją nieprzeparta tęsknota. Muzyka lat sześćdziesiątych, siedemdziesiątych. Muzyka pokolenia. Głos jej pokolenia przemawiający nadal do młodych. Było jej smutno i słodko. Traciła coś i zyskiwała. Życie i śmierć splecione razem. Robbie i Eliot. Przeszłość, która kończy się tam, gdzie zaczyna przyszłość. Robbie powiedział kiedyś, że teoria Einsteina zakłada, iż przeszłość istnieje, tylko jej nie widzimy. Może to i ciekawe, ale teraz Maggie czuła, że istnieje przyszłość, naprawdę istnieje, czy jakaś teoria to zakłada, czy nie. Nie dostrzegamy jej, bo jeszcze się nie wydarzyła. Wszystko jedno czy uważamy, że sami ją kształtujemy, czy też wierzymy, że nie mamy na nią żadnego wpływu, ona istnieje. Odstawiła kieliszek na bar. Za oknem majaczyło pierwsze światło brzasku. Nie będzie potrzebowała latarki. Jej stopy pamiętały drogę. Tyle razy przebywała ją w wyobraźni, przemierzała nocą we śnie. Nie potrzebowała latarki, ale winna była sobie prawdę. Chciała, żeby przyszedł na zabawę, żeby poprosił ją do tańca, wziął w ramiona, pocałował raz jeszcze.

Szła po rosie, strącała krople z liści, minęła jeżyny, wiśnie amerykańskie, pień zwalonego drzewa, doszła do wzniesienia, za którym krył się zakątek pod brzoza. Stąd wyraźnie już słyszała muzykę. Czego Eliot słucha? Czyżby Neila Younga? Piosenka, chociaż nie rozpoznana, ożywiała wspomnienia, a przecież Maggie wiedziała, wiedziała doskonale, że to nie Robbie, lecz Eliot. Zeszła ze wzniesienia ku kępie brzoza. Siedział koło furgonetki na porośniętym trawą brzegu. Mogła dojrzeć jego twarz w świcie brzasku i wpatrzone w nią nieruchome oczy. Serce biło jej gwałtownie, nie mogła dobyć słowa, odpowiedzieć na jego pytające spojrzenie. To on odezwał się pierwszy.

- Pamiętasz, jak Jay Gatsby wystawał na swoim pomoście? - zapytał miękko.

Uklękła przy nim na trawie, dotknęła jego twarzy i zgarnęła krople rosy z włosów.

- Pamiętam.

Gdzieś nad jeziorem rozległ się krzyk nura. Eliot spoglądał teraz w kierunku *Księżycy*.

- Pamiętasz, jak wypatrywał światła w oknach Daisy?

Nachyliła się i pocałowała go. Pod wargami poczuła słony smak. Płakał? Chciała pocałować go raz jeszcze, ale chwycił ją za ramiona i odsunął od siebie, by spojrzeć jej w oczy.

- Pamiętasz? - powtórzył, trzymając ją cały czas za ramiona. Miała ochotę uwolnić się z jego uścisku, poszybować gdzieś wysoko nad taflę wody, skąd mogłaby spojrzeć na nich oboje.

- Tak. Pamiętam.

Poczuła jego dłoń na piersi. Obydwoje osunęli się na trawę.

- Dopiero teraz zrozumiałem, jak bardzo musiał cierpieć - szepnął i zaczął ją całować.

Maggie zamknęła oczy. Słyszała, jak rozpina dżinsy. Uniosła biodra i zsunęła szorty. A potem poszybowała gdzieś wysoko nad jeziorem, tam, gdzie znikwały nury i rozpraszające się mgły.

## *Poranek*

Maggie obudziła się następnego ranka z dużym poczuciem winy. Ogarniały ją ponure myśli. Czy jej nowoangielscy przodkowie wieszali takie kobiety? Jaki los czekałby ją w Iraku lub Iranie? Obok, w jej łóżku, spał Eliot Flaubert. Przez chwilę wsłuchiwała się w jego oddech, spoglądała na jego twarz. Eliot. Odwiózł ją do domu o świcie, niczym po randce, wszedł na górę i teraz leżeli razem, objęci, bezpieczni. Tak powinno być. W magii nocy jest jednak coś, co znika z nadejściem dnia, i czego czasem już nigdy nie można przywołać.

Maggie zastanawiała się teraz, co wywołało ten magiczny stan. Czy chodziło o to, że Eliot był jedynym człowiekiem, przez którego mogła na powrót zbliżyć się do Robbiego? A jeśli tak, czy powinna iść tą drogą? Co czuł sam Eliot? Czy była dla niego uosobieniem przeszłości, kimś, kogo mógł kochać, jak kiedyś kochał ojciec? Czy on też szukał powrotu?

Ciągle jeszcze czuła go w sobie, czuła jego zapach, jego pocałunki. Być może zrazu rzeczywiście szukała

w nim Robbiego, teraz jednak wiedziała, że jest zakochana. Był wspomnieniem Robbiego, ale i czymś więcej. Miała już dość mądrości, by docenić go tak, jak nie potrafiła docenić Robbiego, jak nie potrafiła niegdyś docenić cudu. Los dał jej jeszcze jedną szansę. Czy będzie umiała ją wykorzystać? Mówiła sobie, że to coś innego niż fascynacja Joego Bridgette. Na nią nikt nie czeka w domu na Beauchemin Street. Ona nie niszczy swojego małżeństwa dla młodszego mężczyzny tylko dlatego, że pewnego dnia spojrzała w lustro i zobaczyła zmarszczki wokół oczu. A może jest niesprawiedliwa wobec Joego? Czy rzeczywiście pociągała go w Bridgette tylko młodość? Czy chodziło tylko o pożądanie? Może długo ją obserwował i dostrzegł w niej coś tak cennego, że gotów był wszystko poświęcić?

- Wątpię. To tylko pożądanie - szepnęła. Eliot obrócił się we śnie. Chciała z nim porozmawiać, ale wiedziała, że sama musi się uporać z pytaniami. Światło dnia niszczyło magię, ujawniało niemile prawdy. Co powiedzą dziewczynki? Lucy stwierdzi, że matka w ten sposób zareagowała na wiadomość o ciąży Bridgette, i być może po części będzie miała rację. A może ta wiadomość tylko pomogła jej zrobić to, czego pragnęła: zbliżyć się do Eliota, być z nim, kochać go. A Diana? „Nie wahaj się, mamó. Idź na całego”. Musiało być już po dziesiątej. Niedzielny poranek po trzech tygodniach wyętej pracy. Po całonocnej zabawie. Nikt dzisiaj nie wstanie wcześniej. Po południu przyjedzie na pewno Claire, żeby się zwierzyć,

czy randka z prawnikiem z Coreyville była udana, czy też okazała się niewypałem. Być może pojawią się też Maudy i Gil, by raz jeszcze nacieszyć się przywróconym do życia *Księżycem*. Eliot, zanim usnął, powiedział: „Jutro urządzimy sobie piknik pod brzozaami przy pomoście, tylko we dwoje, bez Claire”. Maggie delikatnie, tak by go nie zbudzić, głaskała jego włosy. Zastanawiała się, czy spał przez ostatnie noce, czy też - jak ona - nie mógł zmrużyć oka. Tak bardzo chciała z nim porozmawiać, powiedzieć mu: „Zakochałam się w tobie, chłopaku o rok tylko starszym od mojej pierwszej córki, Lucy. Ona robi wszystko, żeby cię nie zaakceptować. Kocham cię, wiem o tym, ale pomyśl: szukałam w tobie twojego ojca, gdyby nie on, nie zwróciłabym na ciebie uwagi”. To chciała mu powiedzieć, teraz, kiedy bal Kopciuszka się skończył. Ale nie powiedziała. Wysunęła się z łóżka, wciągnęła dzinsy, sweter, zrobiła sobie kawę i zeszła na werandę. Jak powinna postąpić wobec Eliota? Zaprosiła go, kochali się, tym razem powoli, łagodnie. „Nic z tego nie będzie” - powiedziała, gdy skończyli, i popłakała się niczym naiwna gimnazjalistka. Eliot usiłował ją pocieszać, mówił, że wiek nie gra żadnej roli, że ważna jest tylko miłość. Potem położył głowę na jej piersi i usnął, a ona powtarzała jego imię, jakby chciała upewnić go, że wie, że to on, nie Robert, że ma tego świadomość. Teraz ogarniały ją dziesiątki wątpliwości. Czy możliwy jest taki związek? Czy straci Lucy do czasu, aż córka pogodzi się z jej wyborem? Co powie matka Eliota? Co powiedzą ludzie z Litde Bear Lake? Co



pomyśla? Claire zapewniała ją, że czasy się zmieniły i wiele jest takich par w okolicy, ale brzmiało to tak, jakby przekonywała ją, że ze wstydliwą chorobą też można żyć. Nie w tym rzecz, czy w miasteczku były takie pary, rzecz nie w statystykach, feminizmie czy mniejszościach domagających się równych praw. Chodziło o miłość, o nią i o Eliota, o miejsce dla nich w świecie. Przede wszystkim szło jednak o to, że był synem człowieka, którego kochała, prawdopodobnie jedyne, którego kochała, dopóki nie spotkała Eliota. Wiedziała, dlaczego zakochała się w nim, potrafiła odpowiedzieć na to pytanie bez zastanowienia. Pociągało ją w nim to samo, co w Robbii: wiedza, której na próżno szukać w podręcznikach, opowieści takie jak ta, że jeszcze w osiemnastym wieku ludzie wierzyli, iż jaskółki zimują na dnie jeziora.

Próbowała go unikać, ale pomimo to cały czas był obecny w jej myślach. Słyszała, jak opowiadał Claire o polnych kwiatach, rosnących na łąkach w pobliżu *Księżycy*, tych samych kwiatach, które pokazywał jej Robbie, i które zapewne nauczył rozpoznawać syna. Słyszała, jak mówił o dzierzbach i ich polowaniach na świerszcze, jak przepowiadał pogodę, spoglądając na słońce; widziała, jak pokazywał Gilowi łupiny orzechów laskowych pozostawione przez koszatki, szyszki nadgryzione przez wiewiórki. Tego wieczoru, kiedy poszli nad jezioro, wymieniał nazwy gwiazd Oriona. „Żadna inna konstelacja nie ma tylu jasnych gwiazd” - wyjaśniał wtedy. Dla Maggie ta jego wiedza była czymś znacznie ważniejszym niż eseje o Miltonie, piątkowe brydże i wykłady na temat Drydena, Swifta

czy Pope'a. A potem potrafił raptem zapytać: „Czy wiesz, co musiał czuć Gatsby, wypatrując nocą światła w oknach Daisy”? Za to go pokochała, ale trapiła ją pokretna arytmetyka, nad którą Joe na pewno się nie zastanawiał. A może jednak? Może martwił się, co powie Lucy, przewidywał, że Diana nie pochwali jego decyzji. Nie, nigdy nie związany zbyt silnie z córkami, nie obciążał sobie tym głowy. Miał jednak odwagę, by spełnić własne pragnienia, i odejść. Maggie brakowało tej odwagi. Popijając kawę czekała, kiedy Eliot się obudzi. Powie mu: „Nie możemy być razem. Wszyscy obrócą się przeciwko nam. Moja starsza córka. Twoja matka. Pomyśl o tym, jak ludzie będą się nam przyglądać. W restauracjach. Na ulicach. Zniesiemy to? Nie, nie możemy być razem”.

Kiedy usłyszała, że się obudził i bierze kąpiel, zadzwoniła do Claire.

- Mogłabyś sama prowadzić *Księżyc*? - zapytała bez wstępów.

Claire na chwilę odjęło mowę.

- Co to za pomysł, na miłość boską? Nie ruszaj się z domu, zaraz tam będę.

Po chwili na dole pojawił się rozpromieniony Eliot.

- Witaj, piękna - powiedział, całując ją na dzień dobry. Joe nigdy tego nie robił. -

Przygotuję piknik, który ci obiecałem, i za godzinę będę z powrotem. Jesteś głodna? Bo ja strasznie.

Powiedziała mu wszystko, tak jak sobie to wcześniej zaplanowała: że ich wspólne życie wystawione

na widok publiczny i ludzkie komentarze przypominałoby życie w akwarium. „Nie możemy, Eliot. Naprawdę nie możemy”.

- Wyjeżdżam z Little Bear Lake. Wracam do Kansas City, na uniwersytet, gdzie życie jest bezpieczne: nudne i bezbarwne, ale bezpieczne.

Milczał przez dłuższą chwilę. Stał na werandzie, z mokrymi jeszcze po kąpieli włosami, zapatrzony w jezioro. Wreszcie odwrócił ku niej wzrok.

- Przejmujesz się tym, co powiedzą ludzie w restauracji, na ulicy, co powie twoja córka, moja matka. A co ja myślę, to cię nie obchodzi?

Maggie zaczęła mówić coś o tym, że decyzja każdego człowieka odbija się na życiu innych ludzi, wspominała Joego.

Czy nie była jednak szczęśliwa, że skończyło się jej monotonne życie z Joem? Przecież odżyła, odetchnęła, przypomniała sobie, co znaczy śmiech.

- Przykro mi - powiedziała tylko.

Chciała opowiedzieć mu o Lucy, o tym, jak ważne jest dla niej macierzyństwo. „Rodzice muszą dawać przykład. Lucy przeżyła już jeden szok, kiedy odszedł jej ojciec”. Milczała, wiedząc, jaką usłyszałaby odpowiedź: „Przecież nie przestaniesz być jej matką. Mówimy o twoim życiu”.

- Rozczarowałaś mnie. Myślałem, że jesteś silniejsza - powiedział w końcu.

- Niestety, nie.

Skinął tylko głową i ponownie wpatrzył się w jezioro. Latem będzie pełne motorówek, żaglówek, kajaków, pontonów. Turyści, turyści. Tak bardzo

czekała na lato w Little Bear Lake, a teraz się poddaje. Eliot sądził, że jest silna. Ona sama też tak myślała. Widać się myliła.

- Kiedy wyjeżdżasz? - zapytał cichym, niemal gniewnym głosem.

- Dzisiaj. Im szybciej, tym lepiej. Boję się, że później nie zdobędę się na to. Zabiorę tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Poproszę Claire, żeby resztę przysłała później. Już tu jedzie.

Powiedziała to, wiedząc, że w takim stanie nie będzie chciał spotkać się z Claire. Bała się, że jeśli Eliot zostanie, gotowa się złamać, zmienić zdanie.

- Chcę, żeby Claire prowadziła *Ksiezyc* - dodała. Jakiej reakcji się spodziewała?

Powoli podniósł dłoń i wskazał przeciwny brzeg jeziora.

- Tam stoi dom, który zbudował ojciec. Wychowałem się w nim i zapewne będę mieszkał tam do śmierci.

Łzy napłynęły jej do oczu i zaczęły spływać po policzkach. Nie chciała płakać, przyrzekała sobie, że się nie rozplacze. Eliot ujął jej twarz w dłonie i odwrócił w kierunku jeziora.

- Tam będę, jeśli zmienisz decyzję. Nie namyślaj się zbyt długo. Jak mówi poeta: „Chyży jest ptak czasu”.

Odwrócił się, zszedł do furgonetki, znalazł w schowku kopertę i przyniósł na werandę.

Maggie drżała dłoń, gdy ją odbierała.

- Chciałem ci to dać wczoraj wieczorem, w czasie zabawy, ale się rozmyśliłem. Przeczytaj to przy

okazji. - Wrócił do furgonetki. Stał jeszcze chwilę przy samochodzie, jakby chciał coś powiedzieć, w końcu wszedł bez słowa. Maggie patrzyła, jak powoli odjeżdża.

Claire była znacznie mniej subtelna. W chmurze pyłu zajechała pod *Księżyc* i przeskakując po dwa stopnie, wpadła na werandę z rozwichrzonymi włosami.

- Wreszcie odzyskałam dawną przyjaciółkę, znalazłam pracę w rodzinnym mieście, a już wydawało mi się to niemożliwe. Mówiłam sobie: zdechniesz w Toronto i pies z kulawą nogą nie zauważy twojego odejścia. Ale ty się pojawiłaś i wszystko się zmieniło.

Powiedzmy sobie szczerze, dwadzieścia pięć lat temu wyszłaś po papierosy i przepadłaś.

Wracasz nagle, wyrodna przyjaciółko, a ja przyjmuję cię z otwartymi ramionami. I co?

Oznajmiasz, że wyjeżdżasz. Zechcesz mi powiedzieć, przed czym uciekasz tym razem? Co cię wypłoszyło? Jakiś zgrzyt w maszynie życia? Coś ci powiem, moja kochana. Są tacy, którym zgrzyta w życiu bez przerwy. No i proszę, znowu mi się sypie, akurat teraz, kiedy pojawił się całkiem dorzecznym mężczyzna.

Maggie podniosła się z fotela.

- Mój Boże, nie pomyślałam, że chodzi o biedną Claire. Jaka ja jestem głupia.

Claire ostudził nieco ten komentarz.

- Powiem ci, o co chodzi - fuknęła. - O ciebie i Eliota. O twoje wyrzuty sumienia. O to, że nie potrafisz sobie z tym poradzić. Od miesiąca wszyscy chodzą wokół ciebie na paluszkach, żeby nie urazić

pamięci Robbiego. Mam tego dość. Porzuciłaś go kiedyś. Wielkie rzeczy. Każdy kogoś kiedyś porzucił i był porzucany. Takie jest życie, szczególnie gdy człowiek jest smarkaty. I jeszcze jedna wiadomość, która może ci nie przypaść do smaku. Julia była największą miłością Roberta. Nie pochlebiaj sobie.

Maggie uznała, że dość już usłyszała. Zabrała ze stolika kubek po kawie. Wyjeżdżając, zostawi umyte naczynia. Matka ją tego nauczyła. Życie może sypać się w gruzy, ale, na Boga, naczynia muszą być umyte.

- Zabieram tylko kilka rzeczy. Zamówię w Lakeview ciężarówkę z firmy przewozowej. Doskonale wiesz, że sama możesz prowadzić *Księżyc* i że dasz sobie radę choćby we śnie, acz nie będziesz chyba wiele spała, skoro pojawił się twój dorzecznym mężczyzna. - Maggie ruszyła ku drzwiom. Niech Claire wygaduje, co jej ślina na język przyniesie, ona musi się spakować. Claire istotnie nie miała zamiaru milczeć.

- Jeszcze coś ci powiem. Całe Little Bear Lake podejrzewa, że coś cię łączy z z Eliotem. Wystarczyło popatrzeć na ciebie wczoraj. Tak już jest w małych miasteczkach, kochana. I co, oblali cię smołą i wytarzali w pierzu? Nie. Ludzie lubią Eliota. Ciebie też. I to jest ważne. Pewnie, że będą plotkować. Młody chłopak i starsza od niego kobieta. Wielkie mi co. W życiu jest trochę inaczej niż w książkach.

Teraz Maggie zezłościła się już na dobre.

- Naprawdę? A co z tobą i Christopherem Deanem? Co z twoim trzecim mężem? Był tylko dwanaście lat młodszy od ciebie i popatrz, jak się to skończyło!

Claire szeroko otworzyła oczy. Maggie myślała już, że ją obraziła, gdy raptem usłyszała donośny śmiech.

- Christopher Dean? Porównujesz Eliota z tym facetem? - Rozbawiona klasnęła w dłonie.

- Był młodszy od ciebie - powiedziała Maggie, broniąc się.

- Maggie, skarbie, Christopher był chory na umyśle. Naszym życiem rządziły mecze hokejowe. Rozmawialiśmy w przerwach między tercjami. Ważne sprawy ustalaliśmy, gdy krążek wylatywał na aut. Nie możesz porównywać Eliota do Christophera Deana.

Maggie machnęła ręką, jakby chciała odpędzić argumenty Claire.

- Wiem, Eliot jest inny. - Pierwszy raz zdała sobie sprawę, jak niewiele o nim wie, jak mało mówił o sobie. „Tam mieszkam. Chyży jest ptak czasu”. Tak, był mądry i to ją niepokoiło.

- Zraniłaś go - mówiła Claire. - Mnie tylko rozzłościłaś. To spora różnica.

- Boję się, Claire, a kiedy człowiek się boi, robi wszystko, żeby chronić siebie. - Maggie spojrzała na kopertę; postanowiła, że dzisiaj jej nie otworzy. Jutro być może także nie.

Może gdy wróci już do Kansas

i podejmie znowu pracę na uniwersytecie, w pokoju wykładowców, kiedy profesor Walton po raz kolejny zacznie opowiadać o swojej papudze, wyjmie list z torebki i wtedy przeczyta. Teraz bała się, że po lekturze mogłaby zmienić zamiary.

- Nie rozumiem, od czego uciekasz.

Maggie sama na próżno szukała odpowiedzi na to pytanie.

- Zabieram tylko kilka rzeczy - powtórzyła. - Za pół godziny będę gotowa.

Tym razem pojedzie samochodem. Nie będzie bujała w przestworzach, niczym ptaki, tylko mocno trzymała się ziemi i wyznaczających trasę powrotu drogowskazów.

- Dorzeczny ten twój mężczyzna? - zapytała, gdy Claire z ciężkim westchnieniem usiadła na stopniu werandy.

Claire skinęła głową.

- Znasz to powiedzenie: próbuj do skutku.



*Wyjazd*

**Hegira:** *podróż podejmowana w poszukiwaniu bezpieczeństwa, ucieczka...*  
ze starego słownika Maggie

*Nie wiesz nawet, ile ci zawdzięczam.*

*Byłam sama, jak ty byłeś sam....*

*To były piękne dni, naprawdę piękne dni,*

*Nie zna już dziś kalendarz takich dat.*

*Gdy nauczyłeś mnie wymawiać imię swe,*

*Kiedy stworzyłeś dla mnie cały świat.*

C-6 w szafie grającej, ulubiona piosenka Claire

Zacieniony świerkami i sosnami cmentarz w Litde Bear Lake przypominał raczej park niż miejsce pochówku. Przejeżdżając obok, Maggie nigdy nie patrzyła w stronę wzgórza, na którym spoczywał Robert Flaubert. W jej wspomnieniach nadal był żywy; stanąć nad jego grobem oznaczałoby przyznać, że jest już tylko duchem. Dotąd nie była na to gotowa.

Teraz, kiedy miała wyjeżdżać, z listem Eliota w torebce, z walizkami

w bagażniku, z ciężkim sercem, musiała wreszcie podjąć tę decyzję, zwłaszcza że nie sądziła, by jeszcze kiedykolwiek przyjechała w te strony.

Znalazła jego nagrobek całkiem nieoczekiwanie. Szła przez starą część cmentarza, mijając groby przodków Robbiego i Eliota, którzy przybyli do Little Bear Lake, tu zapuścili korzenie, tu przeżywali swoje wzloty i upadki i tu umierali. „Tam stoi dom, który zbudował ojciec. Wychowałem się w nim i zapewne będę tu mieszkał do śmierci” - powiedział Eliot.

Maggie minęła stare nagrobki i szła w stronę nowszej części cmentarza. Dziwne, człowiek umiera, chowają go, a świat toczy się dalej. Zastanawiała się, co robiła w dniu pogrzebu Robbiego. Poprawiała referaty studentów? Co robiła, gdy umierał? Życie składa się z tylu nieistotnych, nic nie znaczących epizodów. Może właśnie siedziała w wannie, pielęła ogródek, narzekała na ból w łokciu albo niecierpliwiła się, że dostawca nie przywozi zamówionej już dawno pizzy. Życie to film braci Marx.

Wspięła się na niewielkie wzniesienie, gdy nagle nad jej głową pojawił się piękny pomarańczowy motyl. Ruszyła za nim, niczym za przewodnikiem przysłanym z innego świata. Robert nauczył ją rozpoznawać motyle, ona przekazała tę umiejętność Lucy i tak jego wiedza żyła w ludziach, których nigdy nie spotkał. Monarcha, rzadki motyl, jedyny, który jak ptaki odlatywał na południe, przysiadł na nagrobku, po czym wzbił się w górę. Maggie podniosła głowę i zobaczyła pomarańczową, trzepoczącą chmurę. Odlatywały na południe! Czytała o tym, ale nigdy

nie widziała chmary motyli odlatujących do Meksyku. Wiedziała od Robbiego, że żaden pojedynczy osobnik nie przebywa całej drogi. Opowiadał, że zimują w meksykańskiej dolinie na wysokości trzech tysięcy metrów: kilkanaście milionów motyli na czterech akrach ziemi, gęsty pomarańczowy dywan. Obserwowała, jak znikają, uformowawszy długą wstęgę. Opuściła głowę i przeczytała napis na tablicy nagrobnej, na której przed chwilą przysiadł monarcha: *Robert Flaubert. Urodzony 16 grudnia 1943. Zmarł 2 maja 1990. Spoczywa w ziemi milej mu. Wrócił do domu żeglarz z mórz. Wrócił do domu łowca ze wzgórz..*

Łzy napłynęły jej do oczu. Kochał ten wiersz. *Requiem Roberta Louisa Stevensona, umieszczone na nagrobku poety.*

*Kopcie mi grób i kładźcie tam. Umieram rad i żyłem rad. A na nagrobku piszcie tak: Spoczywa w ziemi milej mu. Wrócił do domu żeglarz z mórz. Wrócił do domu łowca ze wzgórz.*

Maggie знаła ten wiersz na pamięć, teraz powtórzyła go szeptem Robertowi. Położyła na grobie pęk wrzosów, które zerwała po drodze. *Spoczywa w ziemi milej mu.* Z oddali dochodziły jakieś głosy. Zbliżał się ktoś, kto przyszedł odwiedzić swoich zmarłych. Po raz ostatni spojrzała na grób. *Wrócił do domu żeglarz z mórz.*

Wyjechała na autostradę, która wiodła na północ. W Niagara Falls miała przekroczyć granicę i skierować się na zachód. Jechała śladem migrujących motyli, jak one szukając bezpiecznego miejsca. W końcu bezpieczeństwo jest sprawą podstawową, czyż nie? Nowoangielska potrzeba bezpieczeństwa. Nie kołysz łodzią. Nawet jeśli tonie, nie kołysz, za nic nie kołysz łodzią. Dlaczego akurat Kansas City, skoro w tym mieście nie pozostał nikt oprócz Joego, pytała samą siebie. Dziewczynki wyjechały. Ona sama zamieszkała tam ze względu na męża: tam się wychował, tam po studiach dostał propozycję pracy. Dlaczego miałyby wracać do Kansas? Żeby odwiedzić Bridgette na oddziale położniczym? Dlaczego nie do Bostonu, gdzie żyli jej przodkowie? Na pewno dostałaby tam pracę na uniwersytecie.

Ponieważ Kansas City jest jedynym domem, jaki mam, odpowiedziała sobie. A przecież dom na Beauchemin Street miał już nowych właścicieli. Dziewczynki mieszkały w innych miastach, Joe zaczął nowe życie. Jedyne, co jej zostało, to stanowisko na uniwersytecie. Jedyne dom, jaki mam, powtórzyła w myśli ze smutkiem. Zbyt wiele pytań cisnęło się do głowy, domagało odpowiedzi. „Przed czym uciekasz tym razem?” To Claire. „Pamiętasz, jak Gatsby wystawał na swoim pomoście?” - dopytywał się Eliot. „Chcesz powiedzieć, że jest ci wszystko jedno?” - zdziwiła się Lucy, gdy powiedziała matce, że Joe ma znowu zostać ojcem. „Nie będziesz już wykładać?” - chciała wiedzieć Anita. „Przed czym uciekasz tym razem? Przed czym uciekasz tym razem? Przed czym uciekasz”?

Minąwszy Toronto, zatrzymała się w małym motelu i wynajęła pokój. Nie była w stanie prowadzić, pochłonięta myślami o przeszłości, o przyszłości, o wszystkim, tylko nie o drodze. Usiadła na wielkim łóżku. W uszach cały czas brzmiało jej pytanie Claire. Po śmierci Dougiego uciekła w małżeństwo, po śmierci matki w studiowanie krytyki literackiej, sonetu angielskiego i poezji średniowiecznej. Czego bała się teraz? Claire miała rację. Znowu uciekała. Czy chodziło o Roberta? Czy to dla niego przedsięwzięła tę szaloną wyprawę, która zaczęła się na strychu Beauchemin Street, kiedy szukała starego referatu o Yeat-sie. „Julia była miłością jego życia. Nie pochlebiaj sobie” - powiedziała Claire. Minęło tyle czasu. Teraz ktoś inny ją wzywał. Eliot. Czy jemu też pozwoli zniknąć, niczym srebrzystej zjawie utkanej z poświaty księżyca? „Einstein twierdzi, że przeszłość istnieje” - powiedział kiedyś Robbie. Istniałaby w Eliocie? Czy wolno wracać do dawnych uczuć? Kto powiedział, że uniesienia mijają z wiekiem? Czy to źle, że w ramionach Eliota czuła się jak kilkunastoletnia dziewczyna?

Pokój motelowy był mały i zagracony, ale schludny, przypominał ten, w którym zatrzymała się po przyjeździe do Litde Bear Lake, i gdzie, dowiedziawszy się o śmierci Robbiego, czytała całą noc jego listy. *Droga Maggl Wieje dzisiaj lekki wiatr. Nad patoką księżyc jak rogalik. Wszyscy wyjechali, w Utile Bear Lake pusto i samotnie. Cpasami cpuję się jak niepotrzebny grat postawiony prpep turystów.* Jak czuł się teraz Eliot?

Po gorącej kąpieli umościła się w łóżku i próbowała zasnąć. Jutro ruszy na zachód, wzdłuż południowego

brzegu jeziora Erie, przez Cleveland do Chicago. Tam skręci na południe, Międzystanową 55, przenocuje po drodze, a później przez St. Louis dotrze w końcu do Kansas City. Może umówi się na obiad z Anitą w nowej tajskiej restauracji.

Rano zadzwoniła do Anity.

- Nie przeszkadzam ci?

- Skądże. Myłam właśnie naczynia. Uratowałaś mnie. Kiedy wracasz? Wyobraź sobie, że mamy nowego dziekana. Wysoki, przynajmniej jak na nasz wydział. Jakieś metr siedemdziesiąt. Trudno powiedzieć, bo nosi buty na grubych podszwach. Szpakowaty, piwne oczy. Łysieje, ale jest bardzo dystyngowany.

- Anita, nigdy nie byłaś dobra w roli Kupidyna. Pamiętasz, jak usiłowałaś wyswatać Marcie Blankenship i Tony'ego Simpsona? Na pierwszej randce omal się nie pozabijali. Niemal widziała przyjaciółkę kręcącą się po kuchni swojego mieszkania w Kansas City, siedem przecznic od Beauchemin Street.

- Kto powiedział, że awantura w restauracji nie miałyby być początkiem udanego związku?

- przekornie zapytała Anita.

- Zdaje się, że w ruch poszły noże. Anita udała, że nie słyszy.

- Henry jest rozwiedziony, jego była żona mieszka w innym stanie, właściwie zaraz za granicą stanu, ale do Kansas City przyjeżdża tylko na weekendy. Opo-

wiedziała mu o tobie. Jest bardzo ciebie ciekaw. Gdyby nie spędzał tyle czasu na wydziale, mógłby nawet być dowcipny. Maggie uśmiechnęła się.

- Jednym słowem, chcesz mnie wyswatać z łysiejącym, pozbawionym poczucia humoru niziołkiem, który spędza weekendy z byłą żoną.

W słuchawce zapadła na chwilę cisza.

- Nie mówiłam, że jest Robertem Redfordem -obruszyła się Anita. - Zadzwoń, jak przyjedziesz.

Maggie wyłączyła się, wypila kawę i ruszyła w drogę. Jej zielony samochodek wtopił się w strumień pojazdów. Miała wrażenie, że i ona znika: unoszona prądem zdarzeń, przestaje decydować o własnym życiu. Litde Bear Lake zostało daleko za nią, niczym sen, a ona wracała myślami do Eliota. Miała wrażenie, że słyszy krzyki nurów o zachodzie słońca, widzi, jak Eliot stoi na pomoście i szuka wzrokiem świateł w mieszkaniu nad *Księżycem*. Będzie ich wypatrywał, dopóki nie zacznie żyć innym snem, nie spotka kobiety, która urodzi mu dzieci, wypełni jego samotność, a on nauczy się cenić to nowe życie, a gdy nadejdzie czas śmierci, będzie mu żal rozstawać się z marzeniem spełnionym, jakże innym niż kruche nadzieje wiązane ze światłami w mieszkaniu nad *Księżycem*, nadzieje, których gorycz tak dobrze poznał Gatsby. Eliot ujdzie cało.

Przed przekroczeniem granicy w Niagara Falls Maggie zatrzymała się na parkingu. Mogła sobie tłumaczyć na różne sposoby, że słusznie postąpiła, ale w głębi duszy czuła zupełnie co innego. Kiedy wyjeżdżała z Litde Bear Lake w 1969 roku, nie

wiedziała, że nigdy już nie zobaczy Robbiego. Tym razem opuszczała miasteczko ostatecznie. Usiłowała nie myśleć o tym, że traci Eliota raz na zawsze, nie pamiętać słów, które szeptała ostatniej nocy, kiedy obudziła się z męczących snów w pokoju motelowym. „Kocham cię, Eliot. Kocham”. Powinna była mu to powiedzieć, powiedzieć prawdę. Patrzyła na kierowców, którzy mijali ją, zmierzając pewnie ku swej przyszłości. Raptem przypomniała sobie, co powiedział Joe, gdy usiłował wytłumaczyć, dlaczego odchodzi. Brzmiące wtedy jak pusta retoryka słowa nabrały teraz nowego znaczenia. „To silniejsze ode mnie. Czuję się jak w rozpedzonym samochodzie, nie mogę zawrócić, nie mam odwrotu”. Joe McIntyre i jego życie.

Maggie wyjęła z torebki kopertę, którą dał jej Eliot. Spodziewała się znaleźć list od niego, ale nie, w górnym prawym rogu widniała data: 3 października 1969 roku.

*Drogi Robbie.*

*W pespłym tygodniu, gdzieś w delcie Mekongu, zginął mój brat. Poległ na wojnie, której nie powinniśmy prowadzić, w której nie chciałem brać udziału. Z jego śmiercią całe moje Życie się zmieniło. Nie potrafię już patrzeć na świat tak jak przedtem. Żałuję, że nie mogę powiedzieć Ci tego osobiście, może lepiej byś mnie zrozumiał. Żyjemy krócej lub dłużej, ale nasze życie powinno być pełne. Dougie został pozbawiony tej szansy, ja muszę przejąć jego spuściznę. Przez trzy lata spędzaliśmy wspólnie cudowne miesiące, ale jestem za młoda, by rezygnować z innych możliwości*



*i myśleć o stabilizacji. Być może kiedyś znowu się spotkamy. Chcę, byś zachował dobre wspomnienie o mnie, jak ja o Tobie. Mam wrażenie, że miłość jest niczym zero absolutne, możliwa tylko w teorii. Wierzę jednak, że ją spotkasz; i że mnie też się to kiedyś zdarzy, a wtedy przeżyje ją w pełni, do końca, bo tego na pewno chciałby Dougie. Życie jest zbyt krótkie i cenne, byśmy mieli postępować inaczej. Sam wiesz, że czas to chyży ptak. Uważaj na siebie. Całuję*  
*Maggie*

Przez wiele minut, długich niczym godziny, Maggie siedziała bez ruchu z listem w dłoni. Jak to możliwe, że czas płata takie figle? Jak mogła zapomnieć, że rozstając się z Robbkiem, nie знаła jeszcze Joego? Zrzuciła myśl o przyszłości z Robertem, zanim spotkała Joego McIntyre! Przez lata, pośród codziennych zajęć, pieluch, wizyt u dentysty, jej pierwszy romans urósł do mitycznych wymiarów. Tymczasem był to tylko przypadek „pierwszej miłości”, nic więcej. Claire, obiektywny obserwator, miała rację.

I jak, co gorsza, mogła zapomnieć o lekcji wyniesionej ze śmierci Douga: *Wierzę, że mnie też się kiedyś zdarzy miłość, a wtedy przeżyje ją w pełni, do końca, bo tego na pewno chciałby Dougie. Zero absolutne. Ptak czasu.* Prawdy z jej listów przytaczane przez Eliota. Spojrzała na drogę, która rozpościerała się przed nią, i włączyła bieg.

- Nie ma odwrotu - powiedziała głośno. *Gdy w zaczarowany wieczór spotkasz prawdziwą miłość, leć ku niej na skrzydłach, albo resztę Życia przeżyjesz samotnie.*

*Droga do domu*

*Epilog*

**Epilog:** *tekst wygłaskany przez jednego z aktorów na zakończenie sztuki.*  
ze starego słownika Maggie

**Dom:** *miejsce, gdzie człowiek mieszka, i do którego czuje przywiązanie.*  
ze starego słownika Maggie

Mamy w kościach szpik naszych przodków, ich komórki składają się na nasze ciała. Dziedziczymy niekiedy ich uprzedzenia, ich porażki, aspiracje, sukcesy. Coś z nowoangielskiego wychowania Maggie Patterson uzewnętrzniło się teraz i usiłowało nią zawładnąć. Postanowiła, że się nie da, że wzniesie się w górę niczym motyl monarcha.

Droga powrotna do Litde Bear Lake zabrała jej pięć godzin. Zadzwoiła z jakiejś stacji benzynowej do Claire.

- Nie umieszczaj jeszcze na swojej wizytówce tytułu „Dyrektor”. Wracam do domu.

- To znaczy, że do końca życia będę musiała słuchać *Some Enchanted Evening* - prychnęła Claire. -Przy okazji, co to za jeden ten Ezio Pinza?

Jeśli przeszłość istnieje, nie można jej zmienić. Można tylko zgodnie z własnymi oczekiwaniami kształtować przyszłość i jej stawić czoło. „Miłość jest jak zero absolutne, możliwa tylko w teorii” - przytaczał jej słowa Eliot. Nawet jeśli kiedyś tak twierdziła, teraz myślała inaczej. Teraz mogłaby powtórzyć: „A jednak naukowcy osiągnęli już temperaturę równą jednej milionowej stopnia powyżej zera absolutnego. Dobrze i to, nie szukajmy absolutu”.

Wczesnym popołudniem zobaczyła tablicę: „Witamy w Litde Bear Lake” i poczuła, że jest w domu. Minęła cmentarz, potem szyld *Księżyc*, nie skręciła jednak na podjazd, tylko pojechała dalej, gdzie pod brzoźami rozciągał się dywan z mchu. Nie zastała tu Eliota. W pierwszej chwili ogarnęło ją przerażenie. « A jeśli wyjechał? Jeśli już jej nie chce?

Droga wzdłuż jeziora mieniła się jesiennymi barwami. To, co jeszcze dwa dni temu było ledwie zapowiedzią zmiany sezonu, zamieniło się w płomienistą czerwień i złoto. Jesień. Zima. Trzeba zamówić drewno do kominka. Eliot poradzi jej, jak zabezpieczyć *Księżyc* przed chłodami. Może powinna wymienić okna.

Dostrzegła wreszcie dom wśród brzóz, solidny, drewniany, z wychodzącym w jezioro obszernym pomostem zapraszającym, by usiąść i podziwiać wyskakujące nad powierzchnię wody pstrągi, krążące na niebie jastrzębie, zachody słońca i wschody księżyca.

Wysiadła z samochodu, cicho zamknęła drzwiczki. Gdzieś z oddali dochodziło krakanie kruka. Ruszyła ścieżką wiodącą na brzeg jeziora, a stopy same zdawały się ją prowadzić, jakby znały drogę. Eliot stał nad wodą w ostatnich promieniach słońca.

- Eliot. - Ledwie wymówiła jego imię, wiedziała, że znalazła się w domu, jakby za sprawą jednego magicznego słowa uwolniła się od ludzkich błędów i przypadłości. Mogła żyć, kochać, osiąść w miejscu, w którym będzie u siebie.

- Eliot - powtórzyła głośniej.

Tym razem usłyszał. Odwrócił się powoli, opromieniony jesiennym słońcem. *Wrócił do domu łowca ze wzgórz*- Rzuciła się biegiem. Zatańczyły wokół brzozy. Zafalowała tafla jeziora.

*Spis treści*

Koronkowa chusteczka .....	5
Powrót .....	20
Spotkanie.....	28
Strata.....	39
Remont.....	48
Mury .....	57
Zaczarowany wieczór .....	66
Obrączka z mosiądzu .....	88
Szafa grająca .....	96
Zabawa .....	106
Poranek.....	120
Wyjazd .....	131
Droga do domu. Epilog.....	140